Organizacja humanitarna krytykowana za pomaganie wyłącznie Ukraińcom



Użytkownik Facebooka opublikował nagranie, na którym udowadnia, że działająca we Wrocławiu jadłodajnia odmawia wydania posiłku Polakom.

- Oburzenie wywołało nagranie, na którym mężczyzna i starsza kobieta udowadniają, że działająca we Wrocławiu jadłodajnia odmawia wydania posiłku Polakom.
- Pojawiły się krytyczne komentarze pod adresem nagranego człowieka, który nie chce wydać posiłku starszej kobiecie, ponieważ ta nie jest Ukrainką.
- World Central Kitchen to niezależna od rządu organizacja, która ma odgórne wytyczne, aby wydawać darmowe posiłki ukraińskim imigrantom.
- Zobacz też: Moskwa: "Mechanizm redukcji zużycia gazu nie jest faktem"

Użytkownik Facebooka opublikował nagranie, na którym udowadnia, że działająca we Wrocławiu jadłodajnia odmawia wydania posiłku Polakom. Pojawiły się krytyczne komentarze pod adresem nagranego człowieka, który nie chce wydać posiłku starszej kobiecie, ponieważ ta nie jest Ukrainką.

"Jedzenie w stołówce tylko dla Ukraińców / Ukraiński personel odmówił nakarmienia starszej Polki" to tytuły, jakie można znaleźć w sieci. Należy tutaj podkreślić, iż choć mężczyzna

nagrywał materiał w miejscu publicznym, oszukał swojego rozmówcę twierdząc, że nie nagrywa zdarzenia, lecz rzekomo prowadzi rozmowę telefoniczną z żoną.

Osobno na YouTube nagranie to opublikował Radosław Patlewicz, lecz zostało ono usunięte. Film został zatytułowany "Jadłodalnia Nur Fur Ukrainer we Wrocławiu. Polacy straszeni policją za prośbę o zupę!". Publicysta i historyk z zamiłowania napisał, że wideo to "pokazywało prawdę o przywilejach ukraińskich w Polsce":



World Central Kitchen

World Central Kitchen to humanitarna pozarządowa organizacja non-profit, zajmująca się zapewnianiem żywności ludziom w kryzysowych sytuacjach. Zazwyczaj chodzi o katastrofy naturalne, lecz pod koniec lutego 2022 r. członkowie pojawili się w obszarach przygranicznych i ciężko dotkniętym Charkowie na Ukrainie, aby rozdawać posiłki podczas rosyjskiej inwazji. Do 2 marca 2022 r. WCK otworzyło 8 kuchni na granicy ukraińsko-polskiej.

Na stronie internetowej organizacji możemy przeczytać:

> *WCK serwuje miliony świeżych posiłków uciekającym z domu ukraińskim rodzinom, a także osobom pozostającym w kraju. Pracując na całodobowym pieszym przejściu granicznym w południowej Polsce, WCK zaczęło serwować gorące, pożywne posiłki w ciągu kilku godzin od pierwszej inwazji i szybko rozszerzyliśmy naszą reakcję, mobilizując zespoły kucharzy z Ukrainy, Rumunii, Mołdawii, Węgier, Słowacji, Hiszpanii, i Niemiec.*
>
> *Wobec coraz większej liczby osób powracających na Ukrainę, WCK koncentruje swoje wysiłki, aby każdego dnia dostarczać setki tysięcy świeżych posiłków i dziesiątki tysięcy zestawów żywnościowych. Docieramy do setek miast, w tym obszarów pod ostrzałem, niedawno wyzwolonych miast i społeczności przyjmujących uchodźców.*

Ta niezależna od rządu organizacja ma odgórne wytyczne, aby wydawać darmowe posiłki ukraińskim imigrantom.

Źródło

Rosja przeciwko Ukrainie, czy wojna domowa na Zachodzie



już od kilku miesięcy znajdujemy się w konflikcie z Rosją. Mówię „my”, bo wszyscy na Zachodzie udajemy, że prawdziwa

wojna toczy się pomiędzy Rosją a Ukrainą (i mrugamy znacząco okiem), lecz jednocześnie sądzimy, że, jeśli potajemnie dostarczać będziemy wszelkie możliwe wsparcie Ukrainie, być może ci, podobno głupi i zacofani Rosjanie tego nie zauważą i będziemy mogli nadal przekonywać wszystkich, że nie mamy nic wspólnego z dalszą perspektywą ciężkich i siejących spustoszenie działań zbrojnych. Już na wstępie chcę podkreślić, że to, co zrobił **Władimir Putin** uważam za złe; Bóg jeden wie, jakie będą tego konsekwencje, bo przez świat znów zaczęli swój przemarsz czterej jeźdźcy apokalipsy. Myślę, że jeszcze bardziej niewybaczalna jest postawa rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Jakkolwiek by jednak nie było, uważam, że istotna jest próba autentycznego zrozumienia motywów tej wojny, bez której trudno sobie to wszystko poukładać (nie mówiąc już o uniknięciu podobnej katastrofy w przyszłości, czy też powstrzymaniu rozprzestrzeniania się obecnego konfliktu). Dziś tego zrozumienia zupełnie nie ma.

Rozmowy z jastrzębiem

Odbyłem publiczne dyskusje (na kanale YouTube i w podcastach) z amerykańskim ekspertem ds. międzynarodowych, **Frederickiem Kaganem**, którego polecili mi moi konserwatywni współpracownicy ze Stanów Zjednoczonych, legitymujący się wielkim doświadczeniem politycznym i jednocześnie wiedzą o polityce zagranicznej. Kagan ma raczej opinię jastrzębia i był w związku z tym adresatem krytyki (gdy u mnie wystąpił) w komentarzach w mediach społecznościowych oraz na moim kanale YouTube. Nasze wspólne filmy obejrzały, nawiasem mówiąc, co najmniej 3 miliony osób. Wspominam o tym, żeby dowieść, iż dyskusje te miały pewien wpływ na szeroko rozumianą sferę publiczną.

Profesor Kagan w skrócie przedstawił tezę, iż Władimir Putin jest wzorcowym autorytarystą, a rosyjska interwencja na Ukrainie może być traktowana jako wyraz imperialnego ekspansjonizmu, charakterystycznego dla Związku Radzieckiego;

mamy zatem II zimną wojnę. Dodatkowo prezentował Putina jako bandytę z naleciałościami hitlerowskimi, kierującego się resentymentem, zabiegającego przede wszystkim o budowę własnej wielkości oraz zbijającego kapitał na rosyjskim patriotyzmie i bazującej na nim retoryce populistycznej, które pozwalają mu na wzmacnianie swych ambicji imperialnych i pragnienia nieograniczonego poszerzenia zakresu swojej władzy. Ten, będący zachodnią odpowiedzią „patriotyczną" na interwencję Rosji pogląd wydaje się na czasie. Ma być działaniem jednoczącym w obliczu wroga, niezbędnym elementem każdego binarnego procesu decyzyjnego: czy jesteśmy na wojnie, czy nie? Jeśli jesteśmy, to pojawia się pytanie: czy wróg jest zły? Jest, z definicji. W innym razie wojny nie da się usprawiedliwić, zaś, skoro tak, to przystąpilibyśmy do walki zdemoralizowani i zredukowalibyśmy nasze szanse na zwycięstwo.

Jednym z podstawowych powodów do udziału w wojnie jest wszakże to, że możemy coś na tym zyskać. W obecnej sytuacji widać wyraźnie, że mamy niewiele do zyskania, za to bardzo dużo do stracenia. Rosja jest mocarstwem atomowym, a my ryzykujemy postawienie jej pod ścianą. I jest to zaledwie jeden z wielu scenariuszy katastrofy, w obliczu której możemy stanąć.

Prognoza Mearsheimera

Wiele osób, które obejrzały moją rozmowę z prof. Kaganem, uznało, że poszerzyłem swoje spojrzenie dzięki spojrzeniu na prace prof. **Johna Mearsheimera** z Uniwersytetu w Chicago, który proponuje alternatywną interpretację polegającą na wskazaniu winy Zachodu. Niezwykle proroczy wykład prof. Mearsheimera na Uniwersytecie w Chicagu z 2015 roku, zatytułowany *Dlaczego na Ukrainie zawinił Zachód?* (ang. *Why is Ukraine the West's Fault?*) i opublikowany na YouTube obejrzało już 30 mln ludzi, co jest wynikiem niespotykanym dla wystąpień akademickich. Zastanawiałem się nad stosunkowo prostym wyjaśnieniem: czy Mearsheimer nie jest apologetą Rosji. Lecz na to nie wygląda. W tej wyjątkowo przejrzystej, godzinnej prezentacji profesor

wyjaśnił, że ekspansja NATO i Unii Europejskiej na Ukrainę (zaproszenie do UE, oficjalne oświadczenie na temat przyjęcia Ukrainy do NATO) stworzyły i nadal będą kreować zagrożenie nieakceptowalne dla Rosji, która uznaje Ukrainę za sferę interesów rosyjskich, a jednocześnie strefę buforową oddzielającą ją od Europy, która brutalnie zaatakowała Rosjan w 1812 i 1941 roku, a i dziś nie jest bardziej godna zaufania niż wtedy. Pierwszy ze wspomnianych czynników Mearsheimer porównuje do stosowanej przez Stany Zjednoczone doktryny Monroe'a, według której półkula zachodnia stanowi ich wyłączną strefę wpływu (zastosowaną choćby, gdy podjęto próbę rozmieszczenia radzieckich rakiet na Kubie), zaś drugi do wyraźnej różnicy wagi Ukrainy dla Rosji (kluczowej) i jej znaczenia dla Zachodu (nieistotnego, nie licząc tranzytu gazu oraz wszelkich bieżących potrzeb związanych z jej wykorzystywaniem na potrzeby moralizatorstwa. John Mearsheimer wyjaśnia klarowanie (i wskazuje w ten sposób na przypuszczalną motywację Putina), że Rosja wolałaby zniszczenie i zrównanie z ziemią Ukrainy niż wygodne usadowienie się przez nią w zachodniej strefie wpływów. Mówił o tym nie miesiąc czy tydzień temu, po interwencji na Ukrainie, lecz w 2015 roku, siedem lat temu.

Mearsheimer uważa także, że prezydent Ukrainy **Wiktor Janukowycz**, obalony w 2014 roku w wyniku masowych protestów prounijnych, był ewidentnym reprezentantem i wyborem żyjących przede wszystkim na południowym wschodzie kraju Ukraińców rosyjskojęzycznych, podczas gdy **Wołodymyr Zełeński**, obecny prezydent, wspierający wszystko, co zachodnie, popierany był i jest przez ukraińskojęzycznych mieszkańców północnego zachodu kraju. Dodajmy do tego fakt, że wspierany przez ukraińskojęzycznych obywateli rząd zaczął stosować coraz bardziej drakońskie restrykcje wobec ludności rosyjskojęzycznej na południowym wschodzie (tak naprawdę, na Zachodzie, gdzie zabiega się o złagodzenie problemów wynikających z wielości języków w należących do niego krajach, powinno się do tych spraw podchodzić ze szczególną

wrażliwością i zrozumieniem). To wystarczy, by stwierdzić, że sytuacja na Ukrainie mogła być dla Putina i Rosjan powodem do niepokoju.

Wojna o rynki surowcowe

Do powyższych dwóch teorii na temat przyczyn konfliktu możemy dodać jeszcze garść spostrzeżeń ze sfery surowców energetycznych. Rosja jest gigantem naftowym, pokrywającym prawie 15% światowego zapotrzebowania na ropę i gaz ziemny, skrajnie zależnym od tego źródła dochodów, które stanowi niemal 50% jej budżetu i prawdopodobnie 30% PKB. Prawie połowa eksportu rosyjskich paliw kopalnych trafia do Europy, która dopuściła do uzależnienia się od dostaw zewnętrznych tych podstawowych surowców (w dużym stopniu przez swoje pseudoetyczne stanowisko w kwestii „ochrony środowiska"). Rosjanom nie jest tak łatwo dostarczać ropę i gaz na rynek również dlatego, że ich olbrzymi kraj jest w praktyce ograniczony granicami lądowymi. Musieli zatem zbudować długie rurociągi. Dwa z nich wiodące na rynek europejski, od którego w dużym stopniu zależy rosyjska gospodarka, przechodzą przez niepodległe obecnie kraje. Nie jest to, delikatnie mówiąc, zbyt komfortowa sytuacja i stało się to powodem konfliktów Rosji w szczególności z Ukrainą, a także doprowadziło do ciągłych rosyjskich ingerencji na Białorusi, która jest w pewnym sensie państwem marionetkowym dla swego większego partnera.

Gdy rozpadło się imperium radzieckie, ogromne złoża ropy naftowej w okolicach Morza Kaspijskiego znalazły się nagle w ręku nowych państw, takich jak Kazachstan, Azerbejdżan, Uzbekistan i Turkmenistan. Po 1989 roku złoża ta wzbudziły ogromne zainteresowanie zachodnich koncernów wydobywczych, a nieograniczona w żaden sposób produkcja z tych krajów zaczęła zagrażać dominacji rosyjskiej na europejskim rynku energetycznym. Stało się to przyczyną ciągłych napięć w regionie, przede wszystkim wokół Azerbejdżanu, który

poprowadził rurociągi na spragnione rynki europejskie przez Gruzję (nieprzypadkowo zaatakowaną przez Rosję w 2008 roku), Turcję i Albanię, ograniczając w ten sposób rosyjską kontrolę nad eksportem ropy naftowej. Ta względna niezależność pozwoliła Azerbejdżanowi na odsunięcie się od strefy wpływów z centrum w Moskwie i jednocześnie wywołała obawy strony rosyjskiej, że za tym przykładem pójść mogą inne kraje rozwijające się na obszarze postradzieckim. Dodajmy do tego fakt, że 80% eksportu rosyjskiej ropy i gazu musiało być przesyłane przez Ukrainę – choć później poziom ten zmniejszono – i widzimy wyraźnie źródło kłopotów. Szczególnie jednoznacznie było to widoczne po rewolucji pomarańczowej w 2005 roku i dojściu do władzy otwarcie prozachodniego reżimu **Wiktora Juszczenki**. Wkrótce po tych wydarzeniach Rosjanie zażądali przekazania im przez Ukrainę praw własności do przebiegających przez ten kraj rurociągów. Spotkali się z odmową. W odpowiedzi zimą zakręcili tymczasowo kurek z dostawami paliw na Ukrainę, od których kraj ten całkowicie zależał.

Warto też wspomnieć o tym, że Ukraina posiada własne, niedawno (około 2010 roku) odkryte złoża surowców energetycznych, szczególnie w okolicach Morza Czarnego i na południowym wschodzie. M.in. posiada wystarczające zasoby gazu ziemnego, by stać się głównym dostawcą tego surowca dla Europy (stanowiąc w ten sposób zagrożenie dla zależności kontynentu od surowców rosyjskich). Ponadto Ukraina dysponuje – choć obecna wojna może to zmienić – ogromnymi możliwościami magazynowania produktów naftowych, co stanowi kolejny zasób mogący ograniczyć możliwości wywierania nacisku przez Rosję na kontrahentów europejskich, będąc swoistym buforem przeciwko nagłym ograniczeniom dostaw. W ciągu ostatniej dekady Ukraina intensywnie podpisywała porozumienia z ExxonMobil, Shellem i Chevronem, które zaczęły eksploatację jej złóż. Prozachodnia rewolucja w 2014 roku, która doprowadziła do obalenia ówczesnych prorosyjskich władz, jeszcze bardziej zaniepokoiła Rosjan. Mająca po niej miejsce inwazja na Krym doprowadziła do

przejścia pod kontrolę rosyjską znacznej części złóż surowcowych. Inwazja na Donbasie, będąca przypuszczalnie formą wsparcia dla tamtejszych prorosyjskich separatystów, miała zapewne u swych źródeł analogiczne motywy.

Mamy zatem trzy hipotezy dotyczące Rosji i Ukrainy. Pierwsza: Putin to imperialista ery radzieckiej i hitleropodobny bandyta. Druga: Rosja poczuła się zagrożona beztroskim i prowokacyjnym ekspansjonizmem Zachodu w kraju, który niewiele nas tak naprawdę obchodzi (poza sytuacjami, w których przywołujemy nasze rzekome cnoty moralne), lecz który ma kluczowe znaczenie dla rosyjskiej tożsamości i bezpieczeństwa. Trzecia: rosyjskie obawy o utrzymanie swej, opartej w pierwszym rzędzie na ropie gospodarki, szczególnie w kontekście obecności na rynku europejskim. Jednak nawet te trzy hipotezy nie wystarczą, by wyjaśnić wybuch tu i teraz tej wojny. Jest jeszcze czwarta, bezpośrednio związana z tym, dlaczego zatytułowałem tej esej *Wojna domowa na Zachodzie* (podkreślam: na Zachodzie, a nie w imperium rosyjskim).

Dostojewski kontra degeneracja Zachodu

Kilka tygodni temu jeden z moich widzów, czytelników czy słuchaczy przysłał mi egzemplarz *Dziennika pisarza* wielkiego rosyjskiego autora, **Fiodora Dostojewskiego**. Dostojewski uważał to znacznie obszerniejsze od swych pozostałych powieści dzieło za swoje największe osiągnięcie. Praca ta ma hybrydowy charakter i była publikowana jako cykl artykułów na łamach konserwatywnego tygodnika „Grażdanin”. Na stronach tej książki widać, że pisarz był też niezwykle utalentowanym publicystą; stanowi ona świetne uzupełnienie równolegle tworzonej przez niego prozy o bardziej intelektualne i polityczne wątki. Dostojewski kreślił tam pogląd na rolę swego kraju, którą uznawał za nierozłączną ze znaczeniem Rosji w chrystianizmie

(tym archaicznym dziś pojęciu). Rosja nie jest katolicka ani protestancka, lecz prawosławna w sferze religijnej, co ma, w moim przekonaniu, wielkie znaczenie z punktu widzenia fatalnej sytuacji na Zachodzie (włącznie z samą Rosją), w której dziś się znaleźliśmy. Pisarz zajmował się tam kwestią filozoficzną, czy wręcz głęboko teologiczną: kryzysem związanym z brakiem sensu życia na Zachodzie (nawiązując do problemu, który miał kluczowe znaczenie psychologiczne i społeczne i który jest znowu istotny dzisiaj).

Jego *Zbrodnia i kara* jest psychologicznym dochodzeniem skoncentrowanym na kwestii tego, co jest słuszne, a co nie; co jest dobre, a co złe. Czy istoty ludzkie, uwolnione od religijnych przesądów, mogą dokonywać swobodnego wyboru, nawet w kwestii popełnienia morderstwa? W *Braciach Karamazow* Dostojewski stawia pytanie, czy skoro Bóg umarł, wszystko jest dozwolone. W *Biesach* pyta: jaką postać może przybrać wiara i do czego może to doprowadzić dziś, gdy struktury tradycyjnych wierzeń rozpadły się na strzępy? Jakie przerażające demony przyjdą w miejsce Jahwe? Dostojewski gorąco wierzył w konieczność odrodzenia chrześcijaństwa w jego bardziej psychologicznym wymiarze, tak istotnym dla prawosławnej doktryny przebóstwienia, czyli procesu transformacji, którego celem jest upodobnienie lub zjednoczenie jednostki z Bogiem. Wierzył, że kluczową rolę w tym odrodzeniu mają do odegrania Rosjanie. Każdy, kto to czyta, zapyta pewnie: co takie arkana mogą mieć wspólnego z rzeczywistością obecnej wojny? Pytanie takie wskazuje jednak wyłącznie na nasze poczucie wyższości i ignorancję Zachodu; nie ma związku ze znaczeniem tych problemów dla spraw świata.

W książce, która wstrząsnęła fundamentami zimnowojennego świata, *Archipelagu Gułag*, **Aleksandr Sołżenicyn** zasugerował, podobnie jak Dostojewski, że Rosjanie muszą powrócić na ścieżkę postępującego, organicznego rozwoju, na którym znajdowała się przed nastąpieniem rewolucyjnych wstrząsów komunistycznej katastrofy. Oznaczało to powrót do wiary

prawosławnej. W Rosji dostrzec możemy wiele znaków odrodzenia chrześcijaństwa, w tym masowe budowy świątyń i projektowanie kolejnych soborów katedralnych. Sam Putin jest praktykującym chrześcijaninem i wygląda na to, że znajduje się pod silnym wpływem wspomnianych idei. Stopień zbieżności jego światopoglądu i działań z wyznawaną przez niego wiarą może być przedmiotem dyskusji, podobnie jak poglądy i działania wszystkich osób, które przyjmują bądź deklarują przyjęcie jakiejś wiary. Czułbym się spokojniejszy, wierząc, że Putin uznaje że jest, choćby w bliżej nieokreślony sposób, podporządkowany instancji wyższej od siebie, bo inna opcja wydaje się zbyt przerażająca (byłoby to założenie, że mamy w sferze moralnej do czynienia z kimś podobnym do **Josifa Stalina**). Bez względu na głębokość i autentyczność jego wiary, bezsporne jest, że rosyjski przywódca często mówi o roli swego kraju jako tamy przeciwko moralnej dekadencji Zachodu, posługując się przy tym pojęciami filozoficznymi i teologicznymi nieosiągalnymi dla przywódców zachodnich (wszyscy oni zmierzają w niektórych sprawach do protekcjonalności, która osiągnęła swe apogeum w postaciach **Justina Trudeau** w Kanadzie, **Jacindy Ardern** w Nowej Zelandii czy amerykańskiej wiceprezydent **Kamali Harris**). Jego myślenie współbrzmi przy tym z prawdziwym filozofem, **Aleksandrem Duginem**. Można powiedzieć wiele na temat Dugina jako filozofa, ale fakt jest faktem, że jego myśli wywarły głęboki wpływ na Putina i Rosję.

Putin uznaje współczesny Zachód za do tego stopnia dekadencki, szczególnie w obszarze religii, że całkowicie niegodny jakiegokolwiek zaufania. Zmuszony jest do kierowania się gospodarczą i polityczną koniecznością handlowania z nami (podobnie, jak my z nim), szczególnie paliwami kopalnymi, aby zapewnić Rosji tak potrzebną twardą zachodnią walutę. Mówi jednak swoim rodakom, że uznaje nas za ludzi znajdujących się pod wpływem idei bardzo podobnych do tych, które doprowadziły do gwałtowności ruchu komunistycznego (przewidzianej ze szczegółami przez Dostojewskiego i przeanalizowanej dokładnie

pod kątem swych straszliwych następstw przez Sołżenicyna). Niezależnie od tego, czy sam w to wierzy – osobiście sądzę, że tak – jest bez wątpienia zdolny i gotowy do wykorzystania historii naszej degeneracji, by ostrzec Rosjan przed nami, przekonać o niezbędności swego przywództwa oraz zjednoczyć ich wokół działań na Ukrainie. Podobnie powiedzieć możemy o węgierskim premierze **Viktorze Orbánie**, polskim prezydencie **Andrzeju Dudzie**. Z podobną retoryką we Francji występuje **Marine Le Pen**.

Ameryka Bidena

Czyż nie jesteśmy zdeprawowani w najgłębszym z możliwych wymiarów? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie może być twierdząca. Pogląd, że znajdujemy się pośrodku wojny kulturowej zdążył już stać się powszechną retoryką. Jak poważna jest to wojna? Czy jest wystarczająco zaciekła, by stworzyła dla Rosji wystarczającą motywację do dokonania inwazji i potencjalnej neutralizacji Ukrainy, wyłącznie po to, by trzymać z daleka od niej patologiczny Zachód, bo jest ona kluczową częścią historycznej rosyjskiej strefy wpływów?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, przeanalizuję sekwencję niedawnych istotnych wydarzeń w Stanach Zjednoczonych, umieszczając je w ramach ewolucji myśli politycznej samego Zachodu. Gdy administracja **Joe Bidena** przystępowała do procedury wyboru nowego sędziego Sądu Najwyższego, początkowo głoszono w tej sprawie jednolity przekaz: czas już, by czarnoskóra kobieta zajęła miejsce w najwyższym trybunale państwa. Sądziłem, że to straszliwa pomyłka strategiczna, uznając Demokratów za ludzi raczej rozsądnych, a nie podatnych na iluzje. Dlaczego najpierw nie ogłosili poszukiwań najlepszego kandydata, a dopiero później znalezienia kogoś wybranego przypadkowo z istniejącej struktury płciowej i rasowej? Czyż takie postępowanie nie byłoby najbardziej sensowne nawet dla samego obozu Demokratów, bo opierałoby się na założeniu, że najbardziej liczą się kwalifikacje, ale

istotne jest również to, że te kwalifikacje posiada ktoś, kto mógłby stać się jednocześnie busolą dla walczących o swoje prawa mniejszości i wykluczonych? Ale nie, płeć i rasę postawiono na pierwszym miejscu. Prowadzi to do pytania, czy kwalifikacje mają w ogóle jakieś znaczenie?

W kategoriach technicznych ograniczanie kręgu kandydatów do kobiet i czarnoskórych oznacza zawężenie go najpierw o 50% (przybliżona proporcja kobiet i mężczyzn), a później o dodatkowe 87%, bo czarnoskórzy stanowią 13% populacji Stanów Zjednoczonych. Oznacza to zredukowanie prawdopodobieństwa wyboru najbardziej kompetentnego kandydata o 93,5%. To ogromne zawężenie. Oznacza to, że wybór czarnoskórej kobiety jest na tyle ważny, że 18 spośród 20 potencjalnie spełniających kryteria kandydatów zostanie odrzuconych już na wstępie. Ta nieuzasadniona niczym, poza najgłupszym z powodów, restrykcja jest w moim przekonaniu (biorąc pod uwagę kluczowe znaczenie danego stanowiska) wielkim błędem, obok innego błędu polegającego na wystawianiu wozu przed koniem. Jest tak szczególnie dlatego, że relacja pomiędzy kompetencjami i wynikami jest nieliniowa; doskonały kandydat na jakieś stanowisko nie jest trochę lepszy od bardzo dobrego kandydata, lecz nieporównywalnie lepszy. Różnica pomiędzy kimś z 1% ogółu i kimś z 0,1% ogółu w obszarze kompetencji jest jak różnica pomiędzy najlepszym spośród stu i najlepszym spośród tysiąca. Jest to zatem różnica na tyle duża, że jej następstwa mogą być (i bywały) brzemienne dla świata. Jeszcze bardziej istotna staje się wtedy, gdy chodzi o stanowisko mające kluczowe znaczenie.

Napisałem coś na ten temat na Twitterze i od razu usłyszałem reprymendę ze strony moich inteligentnych, zdolnych i godnych szacunku demokratycznych przyjaciół, ludzi mających spore wpływy w Waszyngtonie. „W sensie technicznym masz rację – mówili – lecz wyraźnie umniejszasz stopień upolitycznienia takich nominacji w przeszłości; z innych powodów także ograniczano przecież krąg potencjalnych kandydatów, choć nie

miało to bezpośredniego związku z ich rasą i płcią. Podgrzewasz napięcia rasowe przez swój sprzeciw, a to nam nie pomaga itp. Co więcej, kandydatka spełnia lub nawet przewyższa poziom wymagany w zakresie samych kwalifikacji, a zalety mniejszości, do której należy, są tylko dodatkowym czynnikiem na jej korzyść, biorąc pod uwagę kontekst historyczny".

Uznaję ludzi, którzy mi to mówili, za poważnych, więc udzieliłem im odpowiedzi. W pewnym sensie pomyślałem: „Niech będzie. Przyznam wam rację. Nadal sądzę, że ogłaszanie na wstępie konieczności wyboru 'czarnej kobiety' było skrajnie głupie oraz schlebiało najgorszym instynktom, lecz wasza krytyka poprzednich nominacji może mieć sens. Wciąż myślę, że prawdopodobieństwo, iż to ona będzie najlepszą kandydatką bliskie jest zera, jednak jej kandydatura wyglądała na w miarę kompetentną, choćby na tle poprzednich nieodpowiedzialnych nominacji". Jestem zdania, że większość ludzi, którzy myślą podobnie do mnie, w tym ci, którzy bezpośrednio uczestniczyli w przesłuchaniach prowadzących do jej zaakceptowania, czuli to, co ja. Z pewnością nie stała się ona przedmiotem grillowania, które obserwowaliśmy podczas przesłuchań poprzedniego, republikańskiego kandydata, **Bretta Kavanaugha**. Jest jednak prawdą, że to płeć i rasa determinowały proces kwalifikacji, a cała decyzja argumentowana była z pozycji moralności. Samo w sobie nie mówi nam to jeszcze zbyt wiele o rozkładzie Zachodu. Ale…

Gdy sama kandydatka zapytana została wprost w jednym z wywiadów podczas przesłuchań o bardzo jasną kwestię: „kim jest kobieta?", co okazało się podchwytliwym pytaniem (które polega wyłącznie na pokazaniu poziomu naszego upadku i nie zakłada możliwości dobrej odpowiedzi) – odpowiedziała: „Nie jestem biologiem".

To nie była dobra odpowiedź.

Dobrze wiedziała, podobnie jak przeprowadzający wywiad, że pytanie było ustawione. Wiedziała, równie dobrze jak on, że

każda jej odpowiedź będzie pretekstem do ataku na nią. W rezultacie zdecydowała się na uchylenie się od odpowiedzi, robiąc to w taki sposób, by nie zrazić skrajnie radykalnej lewicy. I mógłbym nawet przyznać jej moralną słuszność, biorąc pod uwagę, że nikt nie chce być przedmiotem krytyki i *mobbingu* wyłącznie z powodu odpowiedzi na pytanie, która musi być oczywista dla każdego, kto zachowuje choćby trochę rozsądku i uczciwości.

Nie chcę jednak, mimo wszystko, podążać tym tokiem rozumowania.

Gdy sfinalizowano proces nominacji, administracja Bidena i jej sojusznicy z ruchu „wrażliwych na uprzedzenia” zmuszały nas do wstydliwego i nieustannego świętowania sukcesu nominatki odpowiadającej pierwotnym założeniom całej nominacji, czyli kwestii jej płci i rasy, a jednocześnie tłumaczono nam na gruncie moralnym, że kategoria „płci” niekoniecznie musi w rzeczywistości istnieć.

A i nie-A to nie to samo

Istnieje zasada unikania sprzeczności, której akceptacja stanowi jedną z podstaw praktykowania jakiegokolwiek dyskursu. Zasada ta polega na uznaniu, że twierdzenie, iż A i nie-A są czymś identycznym, jest fundamentalnie i jednoznacznie nieracjonalne i pozbawione sensu. Dlaczego? Ponieważ, jeśli możesz powiedzieć jednocześnie o jakiejś rzeczy, że jest tym, czym jest, oraz tym, czym nie jest, rozmowa z tobą przestaje być możliwa. Opuszczasz bowiem obszary rozsądku i rozsądnego dyskursu. Wychodzisz poza królestwo racjonalności. Oznacza to, że popadłeś w obłęd. Że uległeś degeneracji. Znaczy to, że wszyscy ci, którzy nie zwracają uwagi na twoją obłędną degradację, płyną z tobą w jednej, skazanej na zatopienie łódce. Wynika z tego, że i ty, i wszyscy ci, którzy nie wołali cię, by tą łódź opuścić, zwariowali.

Wszystko to odbywa się wbrew twardemu gruntowi polegającemu na

akceptacji sprzeczności. W naszym społeczeństwie wszelkie skłonności seksualne i najrzadsze choćby typy pożądań, często niebezpieczne i wywrotowe społecznie, mają być nie tylko tolerowane, lecz świętowane publicznie (Miesiąc Dumy), postrzegane jako uzasadnione z hedonistycznego punktu widzenia oraz zupełnie nieszkodliwe, gdy tymczasem seks staje się do tego stopnia niebezpieczny, że każde relacje płciowe (by przywołać tylko niektóre przykłady) pomiędzy młodymi mężczyznami i kobietami na kampusach studenckich uznawane są z definicji za patriarchalne wykorzystywanie oraz porównywane, nawet w przypadku ich dobrowolności, z gwałtem (np. **Andrea Dworkin**, **Catherine McKinnon**), co prowadzi do przekonania, że powinny być regulowane za pomocą wyraźnych zgód zawierających akceptowalne szczegóły, które można by następnie przedkładać przed sądem. W naszym społeczeństwie na dodatek różnice pomiędzy mężczyznami a kobietami uznaje się za czysto kulturowe, nawet na poziomie fizjologii (nie istnieją wyróżniki, nawet genitalne, które pozwalałyby na rozróżnienie chłopców od dziewczynek), zaś wszystkie te, które jeszcze się uznaje, traktowane są jako nieistotne biologiczne, nieznaczące z punktu widzenia przyszłości oraz bez trudu i wątpliwości modyfikowalne kulturowo, ale z drugiej strony żywotne i kluczowe dla „tożsamości” oraz zdrowia psychicznego, bo przecież *misgendering* uznawany jest za przestępstwo, podczas gdy operacje zmiany płci traktowane są jako coś pozytywnego, czego nie można pod sankcją karną w żaden sposób kwestionować, bo są rzekomo jedyną odpowiedzią na rosnąca liczbę przypadków dziecięcej dysforii płciowej.

Radykałowie – radykalniejsi niż sami sądzą – nie przejmują się takimi sprzecznościami, pragnąc gorąco destabilizacji naszego społeczeństwa, końca kapitalizmu, zniszczenia wolnego rynku, wprowadzenia opresyjności wobec Oświecenia, podważenia i zlikwidowania aksjomatów judeochrześcijańskich, a nawet abrahamicznych, na których bazuje nasza kultura, i tańców w płomieniach w stanie dzikiej ekstazy. Jeśli ktoś nie zauważa, że nasze idee znajdują się pod ciężkim ostrzałem, musi być

ślepy i świadomie zdąża w ten sposób w przepaść. Tak właśnie jest.

Czyż w tej sytuacji, patrzący na to wszystko Rosjanie (ale też Węgrzy, Polacy i, w mniejszym stopniu, Hindusi), nie mogą nie pomyśleć, że „ci ludzie postradali rozum”?

Wojna kulturowa

Musimy to powtórzyć. Wyraźnie. Wojna kulturowa na Zachodzie jest realna. Kultura ponosi w niej straty. A Rosja jest częścią Zachodu. Wojna kulturowa jest faktycznie jednym z motywów wojny obecnie się toczącej. I z całą pewnością w tej ostatniej wojnie nie mamy prawa występować z wyżyn moralności, choćby z powodu spraw, o których pisał Mearsheimer, ale również za przyczyną wspomnianego szaleństwa. W rzeczywistości to, z czym mamy do czynienia, stanowić powinno przedmiot poważnej debaty. Mówię to jako ktoś, kto traktuje poglądy ludzi, takich jak Frederick Kagan, z uwagą.

Rosjanie myślą zatem pod kątem pewnego wygodnego dla nich zestawu poglądów w sprawie ich stosunku wobec nas (poza ich ambicjami mocarstwowymi, nacjonalistycznym populizmem i domniemanym bandytyzmem ich przywódcy, choć biorąc to wszystko pod uwagę), że „ci na Zachodzie do tego stopnia zwariowali, że dali się opętać tymi samymi ideami, które pustoszyły nasz kraj przez stulecie (czyż nie mają tu racji?), więc po prostu nie możemy im ufać. Ludzie Zachodu do tego stopnia oszaleli, że wyniszczona, lecz neutralna Ukraina jest lepsza od graniczenia z krajem znajdującym się w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi i Europą. Ludzie Zachodu do tego stopnia zwariowali, że lepiej już postawić świat na krawędzi wojny jądrowej, a potencjalnie nawet do niej doprowadzić, by tylko trzymać ich z dala od nas. Bo my już to wszystko przerabialiśmy i nie chcemy do tego wracać”.

To właśnie mówi swym rodakom Putin, a oni w to wierzą. Dlatego w pewnym sensie nie ma nawet znaczenia czy on sam w to wierzy,

choć ja uważam, że tak (nawet, jeśli wierzy też jednocześnie w rzeczy związane z jego osobistymi ambicjami, potrzebą wielkości, wolą przemocy i pożądaniem wskrzeszenia rosyjskiego imperium). A Rosjanie wierzą, że mają najwyższy moralny obowiązek przeciwstawić się zdegenerowanym ideom (filozofii, teologii) Zachodu. I coś w tym jest.

Warunki pokoju

Właśnie dlatego inwazja Rosji na Ukrainie jest tak naprawdę wojną domową na Zachodzie.

Gdyby nasi przywódcy zachowali choć szczyptę zdrowego rozsądku, nie zajmowaliby się teraz wygodnym dla nich porównywaniem Putina z **Adolfem Hitlerem** czy Stalinem, lecz skoncentrowaliby wszystkie siły na wyraźnym zidentyfikowaniu tego, co Rosjanie zaakceptowaliby jako warunek pokoju.

Być może byłoby to zadeklarowanie, że Ukraina pozostanie państwem neutralnym przez najbliższe 20 lat.

Być może nowe wybory na Ukrainie obserwowane przez rosyjskich i zachodnich obserwatorów.

Być może gwarancja ze strony Zachodu, że nie będzie proponował Ukrainie żadnego członkostwa w NATO i UE, nie oferując go jednocześnie Rosji lub nie proponując jej możliwych do zaakceptowania warunków takiego rozszerzenia.

A jeśli żadna z powyższych propozycji (mogę być tu wyjątkowo naiwny, bo nie znam się na tych sprawach i w związku z tym moje sugestie mogą być błędne), to jakaś inna, która umożliwiłaby zawarcie pokoju, im wcześniej, tym lepiej. Rosjanie są mocarstwem nuklearnym. Rosjanie mają swoją strefę wpływów. Rosjanie są już zintegrowani ze światową gospodarką w sposób, który uniemożliwia odcięcie ich od niej bez niszczących konsekwencji globalnych. I, wbrew wszelkim zapewnieniom, mamy tak naprawdę gdzieś Ukrainę i zawsze tak

było (pamiętacie *Hołodomor*? Czy w ogóle o tym słyszeliście?), natomiast dla Rosjan Ukraina stanowi w pewnym sensie część samej Rosji, w większym nawet stopniu niż półkula zachodnia w doktrynie Monroe'a uznawana jest za część Stanów Zjednoczonych. Nie twierdzę, że Ukraina jest częścią Rosji, ani, że Ukraińcy we wszystkim zgadzają się z Rosjanami. Ale nasze obecne deklaracje stanowią rezultat manii wielkości i są niewiarygodne.

Co możemy stracić

Szczególnie prawdziwe jest to w obliczu faktu, że my na Zachodzie, przeciwstawiając się Rosji, mamy w tej bitwie wiele do stracenia. Nie zdajemy sobie nawet jeszcze do końca sprawy jak wiele. Pozwólcie mi zatem na prognozę pesymistyczną, ale – co gorsza – realistyczną. Sądzę, że poniższe konsekwencje są już dziś nieuniknione.

Po pierwsze, wystrzelenie w górę cen energii. Jestem przekonany, że ceny ropy naftowej dojdą do 300 dolarów za baryłkę w ciągu nadchodzącego roku lub dwóch lat. Być może się mylę, lecz Rosjanie nadal kontrolują część bardzo istotnych kurków i staną przed decyzją użycia tej strategicznej przewagi, jeśli ich pozycje na Ukrainie i na arenie światowej będą słabły, do czego nieuchronnie dojdzie. Te wysokie ceny energii uderzą boleśnie przede wszystkim w kraje uboższe i rozwijające się, lecz także w tych na Zachodzie, którzy mają niskie dochody i płace. Idiotyczna polityka klimatyczna, przy której się upieramy (choćby w coraz bardziej dysfunkcjonalnej Kanadzie Justina Trudeau) i która prowadzi do wielokrotnego wzrostu wagi problemu, wyraźnie doprowadziła już w krajach, takich jak Wielka Brytania czy Niemcy do sytuacji, w której rzekomo współczujący i zorientowani na klasę pracującą Zieloni i im podobni gotowi są do poświęcenia obecnych ubogich na rzecz tych, którzy mieliby być ubogimi w przyszłości wyobrażonej przez nich utopii.

Po drugie, poważne deficyty żywności lub nawet głód mogący dotknąć co najmniej 150 mln ludzi oraz wyraźny wzrost cen artykułów pierwszej potrzeby w krajach rozwiniętych (biorąc pod uwagę, że sama Ukraina produkuje ok. 20% światowej pszenicy wysokiej jakości, a wkrótce nie będzie w stanie wysyłać jej zagranicę, ani magazynować tegorocznych, znacznie zmniejszonych zbiorów). Te braki staną się szczególnie odczuwalne pod koniec 2022 roku. Jeśli dodamy do tego problem rosnącego deficytu nawozów (około 30% światowej produkcji przypada na Ukrainę i Rosję), który wpłynie na zbiory i ceny na całym świecie, mamy gotową katastrofę humanitarną na skalę niespotykaną od lat 1960.

Po trzecie, masowa migracja. Kraje najbardziej dotknięte brakami żywności znajdują się w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie, czyli w regionie, z którego pochodziła ostatnia fala masowej imigracji tak trudna dla Europy (nie mówiąc o samych emigrantach). Spodziewajmy się ogromnych migracji zdesperowanych mas ludzi już w listopadzie 2022 roku, co pociągnie za sobą wzrost napięć religijnych i narodowościowych oraz polaryzację wewnętrzną i fragmentację polityczną, towarzyszące nagłemu i niekontrolowanemu napływowi ludności.

Nie damy rady bez Rosji

Nie damy sobie rady bez Rosjan po naszej stronie świata zachodniego. Na horyzoncie majaczą już chińscy komuniści (Pamiętacie o nich? Nie podjęliśmy nawet żadnej dyskusji na temat tego aspektu sytuacji). System stworzony przez Komunistyczną Partię Chin jest antytezą naszego systemu pod każdym względem, wbrew zachwytom, jakie budzi on u części najbardziej krótkowzrocznych przywódców Zachodu – znów przychodzi tu na myśl kanadyjski premier Justin Trudeau. Chińczycy są zaś subtelni i cierpliwi na sposób, który trudno nam zrozumieć. Jesteśmy płytcy, ignoranccy, nie dalekowzroczni, narcystyczni i niewdzięczni. Nasze bogactwo, w dużej mierze niezasłużone, prowadzi nas do iluzorycznej wiary

w nasze zdolności i moralną wyższość. Tymczasem fakt, że ktoś przyszedł na świat bogatym, nie oznacza wcale, że jest kimś zdolnym, wyróżniającym się i odpowiedzialnym.

Nie mogę wyobrazić sobie, jak mielibyśmy w rzeczywistości zwyciężyć Rosjan, bo oni sami nie pozwolą sobie na przegraną, gdyż konsekwencje ewentualnego zdecydowanego zwycięstwa „naszej" strony byłyby katastrofą w skali międzynarodowej, zaś konflikt, który stanowi jedną z podstaw obecnej wojny wcale nie zniknie, lecz może się jeszcze bardziej pogłębić w przypadku jakiejś „przegranej" Rosjan. Co do tej ostatniej kwestii, wojna idei, która doprowadziła do obecnej prawdziwej wojny, będzie nadal powodowała zniszczenia i prowadziła do postępów nihilizmu, nawet jeśli Rosjanie skapitulują i zgodzą się na powrót do granic sprzed inwazji. Nie jest wcale oczywiste, że kontynuowanie tej wojny idei, pozwoliłoby na zaakceptowanie przez Rosjan istnienia zamożnej Ukrainy, blisko związanej z Zachodem, u jej granic. Myślenie, że wojna zakończy się sromotnym odejściem Putina w niesławie, jest myśleniem typowo życzeniowym. Nie tylko cieszy się on popularnością, ale budzi na dodatek zdecydowanie mniejszą niechęć od każdego z jego poprzedników w ciągu ostatniego wieku dziejów Rosji. Może to i nieszczególny tytuł do chwały, lecz zrozumienie tego jest konieczne, by nie ulegać promowanemu obecnie, naiwnemu i głupiemu optymizmowi.

Front intelektualny

To wojna, której w najbardziej fundamentalnym sensie, nie sposób wygrać, pokonując wyłącznie Rosję. Ta wojna domowa na Zachodzie może zostać rozstrzygnięta jedynie na froncie intelektualnym, czy wręcz duchowym, a zwycięstwem w niej będzie pokonanie radykalnych idei pochodzenia marksistowskiego, które destabilizują obecnie nasze społeczeństwa, w tym społeczeństwa Rosji i Ukrainy. Zwycięstwo w obszarze idei, gdzie toczą się najprawdziwsze bitwy, to zadanie dla klasycznych liberałów, konserwatystów z małej

litery „k” oraz zwolenników tradycji abrahamicznej. Tymczasem zamiast tego wciąż toczymy na Zachodzie nasze bitewki, martwiąc się o nasze przywileje – choć wciąż się z nich w pełni cieszymy – ulegając obsesji różnorodności, inkluzyjności i równości; pogrążając się w niedojrzałym narcyzmie naszych solipsystycznych debat o tożsamości i tracąc czas w chwili, gdy nadchodzi coś naprawdę strasznego. Stoimy przed obliczem ryzyka destabilizacji zadziwiająco współzależnego, zamożnego świata, który wydawał się tak nieprawdopodobny, tak trudny do stworzenia i którym cieszyliśmy się zaledwie przez kilka dziesięcioleci. Podejmujemy to ryzyko wyjątkowo ślepo (całkiem świadomie), głupio, niedojrzale i jednocześnie obnosimy się dumą z tego powodu.

Za chwilę będziemy mieli na głowie głodujące miliony, ale to nie wszystko. Czy możemy jeszcze prawidłowo określić własne priorytety i cofnąć się znad przepaści? Właściwa wizja i cel mogą sprawić, że każdy dostanie to, czego potrzebuje, a nawet to, czego chce. Bez niej, znajdziemy się w piekle, w którym bywaliśmy już wcześniej. Czy naprawdę chcemy tam znów powrócić?

prof. Jordan Peterson

Źródło: https://www.dailywire.com/news/russia-vs-ukraine-or-civil-war-in-the-west

---

Węgiel, czyli gospodarka niedoboru



P**olski rynek węgla na skutek wojny na Ukrainie zaczyna się gwałtownie sypać. Gdy Unia uchwaliła bez większych dyskusji, embargo na import rosyjskiego węgla, przyjęła termin 1 sierpnia. Bruksela dała czas na uzupełnienie zapasów na zimę. Polska zastosowała wariant radykalny. Już w kwietniu decyzją Sejmu węgiel z Rosji został zakazany. To zdestabilizowało sytuację.**

Rynek się podzielił na dwa segmenty. Jeden to państwowe kopalnie, sprzedające gospodarstwom domowym po cenie producenta, bez znaczącej marży. W efekcie ceny tam są 2- lub 3-krotnie niższe niż w pozostałej części rynku. Dlatego do państwowych kopalń tworzą się kolejki, więc oczywiście wprowadzono limity sprzedaży. Wszyscy bowiem boją się, że węgla na jesień zabraknie, więc panika powoduje wykupywanie zasobów, co jeszcze podbija ceny.

Postęp od PRL polega na tym, że są to kolejki w sklepie internetowym. Ale cecha charakterystyczna tamtej gospodarki zawitała do nas w węglu ponownie – to gospodarka niedoboru. Zarządzanie brakami stanie się teraz podstawowym wyzwaniem. O absurdzie, w państwie, które jest europejską potęgą węglową, takim węglowym Kuwejtem.

Drugi paradoks: nie możemy na to zareagować, czyli zwiększyć wydobycie. **Produkcja kopalń nadal spada**. W pierwszych pięciu miesiącach 2022 r. wydobycie wyniosło 23,5 mln ton. To tylko drobinę więcej niż rok temu (23,3), za to znacznie mniej (o 10%) niż w 2019 (26,1 mln t). Dla przypomnienia – 10 lat temu było to 32,5 mln ton, prawie 40% więcej. Dlaczego? Bo jesteśmy w trakcie procesu likwidowania górnictwa węglowego i zaraz za nim – energetyki, na nim pracującej. Bruksela nam za to

zapłaciła, wręcz szantażując Polskę odebraniem pieniędzy na KPO, stawiając bardzo ciężkie warunki, dokładnie zapisane w porozumieniu nt. tego kosmicznego kredytu. To dla kraju, którego gospodarka i państwo musi być subsydiowane z Brukseli to argument nie do odrzucenia.

I wydobycie nie wzrośnie. Teraz można górników pogonić na soboty a nawet niedziele, ale to nie czasy, kiedy łopatą się szybciej machało i urobek był większy. Inwestycje w polskim górnictwie zakończyły się już lata temu, jedyne pieniądze, jakie się wydaje idą na likwidację kopalń, dopłaty do strat spółek węglowych i dla uspokojenia społecznych nastrojów. A przygotowanie ściany węgla (tak z 800 tysięcy ton) to półtora roku pracy i jest to inwestycja rzędu 200 mln zł (wściekłe ceny stali wywindowały te koszty pod niebiosa). Ale co ważniejsze, Bruksela trzyma w ręku decyzje o poważniejszych krokach w polskim górnictwie. Zagwarantowało to sobie, płacąc za to. Taka klimatyczna gospodarka nakazowo-rozdzielcza.

Jeśli Tauron zmniejsza zdolności produkcyjne na 2022 rok, dostaje na to 1,15 mld zł z budżetu państwa. A decyzja musi być jeszcze zatwierdzona w Brukseli. To ona wymogła na nas takie kroki, jak zablokowanie od 2022 r. możliwości dofinansowania kotłów na węgiel. Tylko zielone źródła, w tym wypadku – pompy ciepła.

Ofiarą tej decyzji w pierwszej kolejności padły polskie przedsiębiorstwa, głównie prywatne. To oni dominowali na rynku węgla dla indywidualnych odbiorców i mniejszych przedsiębiorstw czy ciepłowni. Odcięto ich w ten sposób od importu ze wschodu, dostarczanego koleją, więc na skalę ich możliwości. Dostawy wielkimi statkami są poza ich zasięgiem.

Wszystko to jest efektem wielu lat polskiej polityki energetycznej, z nieustannie powtarzanym hasłem bezpieczeństwa energetycznego. Ta polityka tak właśnie się kończy – zagrożeniem dla podstawowej potrzeby każdego człowieka – zapewnienia mu ciepła. W europejskim Kuwejcie

węglowym mamy węglowy kryzys. A to dopiero lipiec.

Andrzej Szczęśniak

Wracaj do domu



Ukraiński aktywista, **Igor Isajew** stwierdził, że w polskich miastach, w których znaczny odsetek mieszkańców stanowią Ukraińcy, powinni oni zawalczyć o to, by język ukraiński stał się drugim językiem urzędowym. Chciałby także umieszczenia dwujęzycznych tablic w takich miastach. Nic dziwnego, że w sieci zawrzało. Tym bardziej, że te wyjątkowo bezczelne postulaty wcale nie są jednostkowym przypadkiem wśród coraz bardziej roszczeniowej grupy jaką są ukraińscy migranci.

Sam Igor Isajew jest Ukraińcem, który od kilkunastu lat mieszka w Polsce. To zresztą jeden z kluczowych czynników jego samoidentyfikacji, nawet swój facebookowy profil nazwał „Igor Isajew – Ukrainiec w Polsce". Pomimo to najwyraźniej pan Igor nie czuje się w naszej ojczyźnie szczególnie dobrze. Co chwilę na coś narzeka, coś krytykuje, coś chciałby zmieniać i ulepszać. I bynajmniej nie chodzi tylko o kwestie relacji pomiędzy Polakami i Ukraińcami.

Facebookowy profil Isajewa szokuje potencjalnego odbiorcę. Od razu w oczy rzuca się grafika przedstawiająca groteskowo przekształcone polskie godło. Biały orzeł przedstawiony jest na tle barw ukraińskich. Głowę heraldycznego ptaka zdobi

korona w barwach tęczy LGBT. Mamy więc do czynienia z ewidentnym i celowym znieważeniem barw narodowych, które wyczerpuje znamiona przestępstwa określonego w art. 137 kodeksu karnego. Winno być ono ścigane z urzędu.



Zresztą to nie pierwszy tego typu wyskok Isajewa. Prokuratura Okręgowa w Warszawie postawiła mu niedawno zarzut publicznego znieważenia Rzeczypospolitej Polskiej. Chodzi o jego wpis z 4 października 2020 roku w mediach społecznościowych o treści

„Zaiste Polsko ty hóju”. Za publiczne znieważenie Rzeczypospolitej Polskiej Isajewowi grozi kara pozbawienia wolności do trzech lat.

Jak widać Igor Isajew czuje się u nas nieszczęśliwy. Mam zatem dla niego dobrą radę. Niech wraca do siebie, na Ukrainę, nic tu po nim. Tam może robić porządki takie, jak mu się żywnie spodoba. Tą samą radę należy zresztą rozciągnąć na wszystkich przybyszów, zarówno z przedwojennej jak i wojennej fali emigracji. **Jeśli chcecie u nas żyć musicie zaakceptować nasze zasady. Musicie sami się utrzymywać, nauczyć się naszego języka i naszych zwyczajów. Jeśli to Wam nie odpowiada, nikt Was tutaj na siłę trzymać nie będzie . Droga wolna. Wracajcie do domu.**

Przemysław Piasta

Apoteoza wojny



Jest taki obraz Wasilija Wierieszczagina, powstały w 1871 roku, pt. Apoteoza wojny. Pokazana na nim piramida z ludzkich czaszek na pustyni w otoczeniu czarnego ptactwa wraz z dedykacją autora na ramie: „wszystkim zdobywcom, minionym, współczesnym i przyszłym”, powinna stać się memento dla możnych tego świata, od których zależą losy wojny na Ukrainie: od Putina po Zełenskiego, od Bidena po wszystkich jego popleczników, od Franciszka po wszystkich arcykapłanów każdej

religii i wiary.

Dlaczego Wam, decydentom, wszystkim mężom i żonom stanu, dostojnikom, eminencjom i ekscelencjom brakuje skuteczności w wołaniu o pokój? Dlaczego wasz Bóg jest bogiem wojny, a nie bogiem pokoju? Zamknijcie drzwi świątyni Janusa! Zamknijcie Portae Belli! Czas zawiesić działania zbrojne i zacząć rozmawiać o pokoju. Jeśli ktokolwiek cokolwiek pamięta z łaciny, a nawet gdy nigdy się jej nie uczył, niech zajrzy do internetu i zrozumie zawołanie, które i nam współczesnym powinno stać się bliskie: Iane, fac aeternos pacem pacisque ministros! („Janusie, uczyń wiecznymi pokój i zsyłających pokój!”). Nadchodzi czas, aby odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie:

w czyim interesie jest ta wojna?

Ludzie ponoszą ofiary, a świat bezradnie przygląda się tragedii. Poprzez media masowe jesteśmy świadkami w czasie rzeczywistym rozlewu krwi i eskalacji przemocy. Nawet gdy wojna zwalnia nas z dylematu rozstrzygania, kto jest agresorem a kto ofiarą, bo wszystko wydaje się oczywiste, trzeba przejść do kolejnego stadium wartościowania – cui bono? **Komu ta wojna jest na rękę? Komu służy? Dlaczego ktoś programuje, że ma trwać długo i przyczynić się do wykrwawienia stron?**

Gdy ludzie skupiają się pod jedną flagą i nie mają dylematów moralnych, przestają myśleć. Wybór jest oczywisty: my stajemy po stronie dobra, walcząc ze złem. My szlachetni i prawi, a naprzeciw nas barbarzyńcy, obcy i wrodzy. Przestaje obowiązywać jakaś krępująca dotąd poprawność polityczna: walczymy przecież z rzeźnikiem i opryszkiem stojącym na czele państwa rozbójniczego. Przypisujemy sobie prawo do osądzania zbrodniarzy, gdyż po naszej stronie jest nie tylko patriotyczna racja, ale i jednoznaczność moralna. Do tego Historia opromieni blaskiem nasze heroiczne myślenie i odważne, choć nie zawsze mądre wypowiedzi.

W sytuacjach wojny szczególnie nasilają się w psychice ludzkiej błędy w postrzeganiu Według **Janusza Reykowskiego**, bezpardonowej walce sprzyjają takie środki, jak:

– Autogloryfikacja strony, po której się stoi: jeśli ktoś wyraża zdanie odmienne, zostaje postrzegany jako osoba znajdująca się po przeciwnej stronie, a wtedy wiadomo, co myśleć o takim człowieku. Odmawia mu się kwalifikacji moralnych, przypisuje się brak charakteru i brak rozumu. Nawet bliscy starają się unikać takiej osoby, albo przynajmniej nie rozmawiać z nią na wiadome tematy.

– Aksjologizacja konfliktu i dehumanizacja oponenta: oznacza ona wykluczenie z kategorii moralnej, jaką stanowi osoba ludzka. Jest to podważanie czyjegoś statusu ludzkiego. To kluczowe zjawisko w uprzedzeniach, rasizmie i dyskryminacji. Zaangażowani w konflikt w miarę upływu czasu stają się coraz mniej zdolni zrozumieć czyjeś położenie. Przestaje się rozumieć racje oponenta, bo on racji po prostu nie ma. Druga strona z założenia jest pozbawiona wszelkiej moralności, jest żądna wygranej, nic więcej. Dlatego pozbawia się ją cech ludzkich. Nie jest to partner, ale raczej przeciwnik, którego należy bezwzględnie zwalczać, nie można z nim rozmawiać, dyskutować, zawierać porozumienia, nie ma po prostu z kim tego robić.

– Selektywność percepcji i ślepota poznawcza: na podstawie mechanizmu projekcji dostrzega się tylko własne cechy pozytywne, a cechy negatywne przypisuje się drugiej stronie. Strony dostrzegają różnice między sobą, które wartościują negatywnie. To, co u danej strony jest uzasadnione, wydaje się nie do przyjęcia u drugiej strony.

– Dialog głuchych: oznacza, że strony nie słuchają tego, co jest przekazywane. Dezawuują głosy przeciwnika, zagłuszają je; koncentrują się wyłącznie na własnej interpretacji, której nadaje się miano niepodważalnej prawdy.

– Etykietowanie: ma związek z mechanizmem naznaczenia, związanym z dyskredytacją i stygmatyzacją; deprecjonowaniem poprzez „przypinanie komuś etykietki”; etykieta wroga oznacza antycypowanie zachowań wrogich, których należy się spodziewać i na które trzeba być przygotowanym; w tych procesach ujawnia się mechanizm „samospełniającego się proroctwa”, powstaje błędne koło reakcji i kontrreakcji; wrogość, która może zrazu być tylko wynikiem wyobraźni, może przerodzić się w otwarty konflikt.

– Zubożenie intelektualne i uproszczenia poznawcze: pod wpływem napięć percepcja rzeczywistości jest ograniczona. Świat jest oceniany w kategoriach czarno-białych. W jasnych barwach postrzega się samego siebie, a w ciemnych tonacjach pokazuje się drugą stronę. Temu zjawisku towarzyszy ograniczanie liczby pomysłów, konstruktywnych rozwiązań. Racje schodzą na plan dalszy, a intelektem rządzą emocje. Upraszczanie rzeczywistości prowadzi do jej fałszowania. Strona wyolbrzymia własną pozytywną rolę, na przykład przyjmuje na siebie rolę obrońcy przed złem.

– Substytucja celów: głównym celem staje się pokonanie oponenta za wszelką cenę, danie mu nauczki.

– Autystyczna wrogość i konieczność użycia przemocy: obserwuje się sukcesywne narastanie wrogich uczuć, całkowity brak kontaktu, narastanie barier porozumienia. Pojawiają się przedwczesne oceny oponenta w kategoriach jego słabości bądź bezwartościowości. Narastają fantazje wokół celów drugiej strony, tworzą się lub odżywają mity i legendy. Łatwo wtedy o zerwanie komunikacji i sięgnięcie do siły. Pojawiają się bowiem tendencje do użycia zdecydowanych środków wobec drugiej strony. Ponieważ to, czego bronią oponenci – nie jest słuszne, zatem trzeba ich zaatakować.

– Gotowość do poświęceń: wzrasta nie tylko agresja wobec strony przeciwnej. Określony sposób postrzegania konfliktu wywołuje także gotowość do ponoszenia ofiar na rzecz swojej

strony. Nie przeraża wizja strat, a wręcz odwrotnie, odczuwa się satysfakcję z tego, że grożą cierpienia, że robi się coś, co jest bardzo niebezpieczne.

Na co wszyscy czekają?

W sytuacji, kiedy strona rozpatruje rzecz jedynie ze swojego punktu widzenia, szanse na porozumienie są nikłe. Jest to podstawowy błąd percepcyjny. Inne tego rodzaju błędy to: sądzenie innych na podstawie własnych uprzedzeń i podejrzliwości oraz obwinianie innych za swoje błędy. Mając świadomość owych zakłóceń w postrzeganiu stron konfliktu świadomi uczestnicy zdarzeń podejmują nieraz próby organizowania tzw. sesji wymiany wizerunków (w postaci rozmaitych nieformalnych spotkań). Dostarczają one okazji do analiz źródeł nieporozumień i fałszywych mniemań. Dlatego dyplomacja ciągle ma do odegrania istotną rolę, a dobre usługi i mediacja nie powinny znikać z pola widzenia, wbrew wielu pryncypialnym sprzeciwom.

Patrząc na dzisiejsze reagowanie na to, co dzieje się na Ukrainie, można odnieść wrażenie, że zapanował powszechnie syndrom myślenia grupowego, wpływający na wypaczenie procesu podejmowania decyzji. Polega on na wytworzeniu się w skali masowej specyficznego sposobu myślenia, wpływającego w konsekwencji na poczynania skonfliktowanych i wojujących stron. Najczęściej dążenie do jednomyślności warunkuje podejmowanie decyzji ze szkodą dla realistycznej oceny przesłanek planowanych posunięć, jak i ich rezultaty.

Pośród symptomów myślenia grupowego występują m.in.: złudzenie bezpieczeństwa, co skłania do podejmowania działań ryzykownych; zbiorowe usprawiedliwianie; przekonanie o moralnej wyższości każdej ze stron; popełnianie wielu błędów percepcyjnych, wymienionych wyżej; konsolidacja grupowa, kneblowanie dysydentów; autocenzura poglądów niezgodnych z przekonaniami grupy; złudzenie jednomyślności; pojawienie się „strażników”, ochraniających grupę przed odmiennymi poglądami.

Zjawisko to zostało przedstawione w literaturze na przykładzie sztabów prezydentów USA, odpowiedzialnych za podejmowanie decyzji w czasie kryzysów międzynarodowych, m.in. w czasie kryzysu karaibskiego w 1962 r. (Irving L. Janis, „Victims of Groupthink: A Psychological Study of Foreign-Policy Decisions and Fiascoes", Houghton Mifflin, Boston 1972).

Ostatnio trafnie zjawisko myślenia życzeniowego przedstawił gdański pisarz i profesor **Stefan Chwin**, mówiąc, że „nikt nie chce wiedzieć, co naprawdę się dzieje na Ukrainie. Wszyscy czekamy na to, że Dawid zwycięży Goliata, zapominając, że żaden Dawid nigdy nie zwyciężył żadnego Goliata, z wyjątkiem bohatera biblijnego o raczej niepewnym istnieniu". Na dodatek ludzie popadają w „bzik patriotyczny", demonstrując wrogość do wszystkiego, „co ruskie" (nawet do ulubionych przez wielu pierogów). Świadczy to o bezmyślnym zachłystywaniu się swoją wyższością moralną i uspokajaniu sumienia, podczas gdy rzeczywistość jest absolutnie głucha na takie rozpaczliwe i obłędne manifesty.

Obecnie wszelkie antywojenne manifesty, apele i odezwy ludzi osamotnionych w przeciwstawianiu się prowojennej euforii odrzuca się jako przejaw defetyzmu i stronniczości wobec Rosji. W wojennym uniesieniu antymilitaryzm i pacyfizm nie mają żadnej siły edukacyjnej ani skuteczności perswazyjnej. Wielu ludzi zapomina wszystkie okropności wojny (nawiązuję tu do genialnego cyklu rycin **Francisca Goi z lat 1811-1816**), mimo że już w szkole choćby poprzez literaturę każde niemal dziecko dowiaduje się, że wojna jest nikczemną i podłą niesprawiedliwością, źródłem bezgranicznych nieszczęść ludzkich.

A jednak wojna kusi heroizacją i budowaniem nowych mitologii. Jej „czar" wyrażany w poezji i pieśni, w paradach i ceremoniałach, w masowych pochodach i zlotach przenika wychowanie dzieci, a tam, gdzie militaryzacja społeczeństwa i państwa osiąga wymiar patriotycznego imperatywu, legitymizuje

wszystkie doktryny i tłamsi racjonalną kalkulację. W wojennych uniesieniach wykuwają się nowe tożsamości, które następne pokolenia przekuwają w spiżowe monumenty i granitowe mauzolea. Martyrologia staje się częścią narodowej epopei, opartej na sakralizacji bohaterów, ale i na pielęgnowaniu nienawiści i żądzy odwetu. Pamięć o wrogu pozwala na skuteczną konsolidację społeczeństwa i cierpliwość w oczekiwaniu na powetowanie krzywd.

Kapitulacja którejkolwiek ze stron prowadzi do długotrwałej traumy, opartej na gorzkiej prawdzie o swojej słabości, poczuciu zdrady i upokorzenia. Największy cios idealizacji i pochwale wojny zadaje uświadomienie sobie, że była ona rozwiązaniem beznadziejnie głupim i irracjonalnym. Przyniosła bowiem niewyobrażalne szkody, a żadnego pożytku. W kategoriach pozarozumowych prowadziła do ekstatycznych uniesień i ekstremalnych poświęceń. W rezultacie jednak okazała się szaleństwem, którego skutki odczuwać będą kolejne pokolenia poprzez szukanie winnych, przeprowadzanie rozliczeń, przywracanie normalności oraz leczenie depresji i nerwic.

Trudno wyobrazić sobie następne dekady, a nawet najbliższe lata stosunków rosyjsko-ukraińskich. Nie brakuje wprawdzie pomysłów na upokorzenie Rosji i na włączenie Ukrainy do struktur zachodnich, ale wszystko zależy od sposobu zakończenia tej absurdalnej wojny. Jeśli żadna ze stron nie zrezygnuje ze swojej determinacji na rzecz całkowitego zwycięstwa, wówczas dziwaczny stan (ni)pokoju-(ni)wojny na długie lata pogrąży Europę Środkową i Wschodniej w paraliżującej traumie.

Gdy zamilkną działa…

i opadnie pył bitewny, przyjdzie może czas na refleksję. Być może część obserwatorów ułoży w jakieś logiczne ciągi wszystkie absurdy wojny na Ukrainie. Może ochłoną rozgrzane emocjami umysły badaczy uniwersyteckich, którzy spokojnie zastanowią się nad ideologicznymi uzasadnieniami tej wojny

(sprowadzanie konfliktu do zwarcia między demokracjami a autokracją rosyjską niewiele wyjaśnia), błędami strategicznymi Zachodu i Rosji w budowaniu pozimnowojennej równowagi sił, ułomnościami psychicznymi przywódców, splotem interesów uczestników bezpośrednich i pośrednich, utratą sterowności systemowej.

Wojna na Ukrainie pokazuje, że pewne szaleństwa powtarzają się regularnie w historii. Wojna ze swojej istoty ma charakter zbrodniczy, pokazuje przede wszystkim pychę i pogardę dla słabszych, ujawnia atawistyczne instynkty i obnaża cynizm świata polityki, finansjery i armii. Francuski socjolog **Gaston Bouthoul (1896-1980),** twórca polemologii, naukowej refleksji nad wojną, wskazywał m.in., że wbrew swojej szkodliwości, wojna jest osobliwą grą sił, dającą się wytłumaczyć nie tylko w kategoriach rytuałów i symboli, ale także w granicach gospodarczej, wojskowej, demograficznej czy ideologicznej logiki. Poszukując obiektywno-racjonalnych korzeni wojny i zjawisk z nią związanych wielu jego naśladowców ucieka od najważniejszej przyczyny, tj. obłędu, obsesji i szaleństwa ludzi władzy – tych wszystkich, nawet demokratycznie „pomazanych" wodzów i dowódców, którzy z racji posiadanych uprawnień mogą szafować życiem mas ludzkich, nie ponosząc za to z reguły żadnej odpowiedzialności.

Piękny w swoim zamyśle Akt Konstytucyjny Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) ciągle przypomina, że jeśli wojny rodzą się w umysłach ludzi, to również w ich umysłach powinny być zwalczane. Czas więc przywrócić nadzieję, że pokój dzięki rozumowi można wygrać. Bo przecież, mówiąc słowami **Czesława Niemena**: *„Ludzi dobrej woli jest więcej/ I mocno wierzę w to/ Że ten świat/ Nie zginie nigdy dzięki nim/ Nie nie nie nie".*

Prof. Stanisław Bieleń

Polityka rusofobii w Polsce i na Ukrainie



Należy powiedzieć wprost – mamy do czynienia z programową polityką rusofobii na terenie Polski i Ukrainy od wielu lat, czego konsekwencje obserwować możemy w formie działań militarnych Federacji Rosyjskiej na terenie – na szczęście i póki co – tylko jednego ze wspomnianych krajów. Dyskryminacja osób rosyjskojęzycznych, rugowanie przejawów jakiejkolwiek formy rosyjskiej kultury na Ukrainie i w Polsce zaczyna sięgać apogeum. Niestety, próżno oczekiwać po mediach głównego nurtu wyjaśnienia przyczyn rosyjskich decyzji dotyczących operacji wojskowej nad Dnieprem. Spieszę z pomocą.

Dyskryminacja za *spasiba*

Kłopoty i wręcz programowa dyskryminacja osób rosyjskojęzycznych, które stanowią na Ukrainie większość trwają nieprzerwanie od wielu lat, lecz ich nasilenie nastąpiło po wybuchu tzw. Euromajdanu. Zamykanie szkół i kursów rosyjskojęzycznych, wulgarne zachowanie nacjonalistów ukraińskich wobec Ukraińców rosyjskojęzycznych (niekiedy nawet w programach na żywo), zakaz używania języka rosyjskiego na terenie kraju, wprowadzenie nowego przedmiotu rusofobia (*sic!*) w szkołach ukraińskich, likwidacja kanonu lektur rosyjskich autorów, filmów kinematografii radzieckiej i rosyjskiej,

pobicia, zastraszania i wiele innych objawów jawnej dyskryminacji kultury rosyjskiej na obszarze Ukrainy to codzienność. Ponadto nieprzerwane ostrzeliwanie wschodnich części Ukrainy, podczas których życie straciło około 20 000 osób i kolejne dziesiątki tysięcy utraciły domy, zdrowie, dorobek życia. O tym nie chcą pamiętać ani informować media głównego nurtu, zarówno w telewizji ukraińskiej, jak również polskiej.

Każdorazowe nazywanie fake newsami wszelkich doniesień o krzywdzeniu ludności Ługańska i Doniecka, która w świetle powyższych faktów trudno, aby nie traktowała wkroczenia wojsk rosyjskich jako formy wyzwolenia spod wieloletniego ucisku. Owe *„fake newsy”* istnieją, nie mają się dobrze i odważyły się pokazać w niedawno nakręconym klipie opowiadającym o tragedii rosyjskojęzycznych Ukraińców. Ludność cywilna w regionach wschodniej Ukrainy, która jest objęta aktywną ochroną wspólnych wojsk ługańsko-doniecko-rosyjskich, przez wiele lat była i niestety nadal jest ofiarą ataków militarnych ich własnej ukraińskiej armii. Choć czują się Ukraińcami, identyfikują się z kulturą ukraińską i pragną być częścią narodu ukraińskiego, odmawia się im partycypacji w życiu społecznym kraju tylko dlatego, że mówią w języku rosyjskim. Abstrahując od wyjątkowo wstrętnej wybiórczości mediów i osób, które rozpaczają nad śmiercią żołnierzy ukraińskich w trwającej obecnie wojnie na obszarze Ukrainy, a nie uroniły łzy nad życiem cywilów mordowanych i dyskryminowanych okrutnie za mówienie *spasiba* zamiast *dziękuju*. Problem jest, moim zdaniem, dowodem na to, iż na Ukrainie nigdy nie było standardów demokratycznych przestrzeganych w praktyce.

Polska kalka ukraińskiej rusofobii

Czy bowiem w demokratycznym państwie prawa może istnieć zakaz posługiwania się jakimś językiem? Czy zamyka się szkoły językowe, atakuje ludzi mówiących z innym akcentem i zrzuca się na wybraną część narodu bomby? Czy państwo, gdzie korupcja

jest wręcz zjawiskiem endemicznym i dotyka niemal każdego aspektu życia powszedniego można nazywać demokratycznym i zasługującym na wprowadzenie w struktury euroatlantyckie? Jak można mówić w ogóle o jakiejkolwiek obronie demokratycznego państwa, które od wielu lat stosuje czystki etno-kulturowe, rasizm uznaje za zasadniczą linię polityki społecznej państwa? Czy Polacy wiedzą, że osobom, zamieszkującym wschodnie części Ukrainy nie wypłacano emerytur, rent, pomocy socjalnej, mimo, że ściągano z nich podatki, zaniedbywano przestrzeń życiową poprzez niemodernizowanie i nieremontowanie, np. infrastruktury miejskiej?

Tymczasem w Polsce zapanowała wciąż rosnąca atmosfera niemniejszej rusofobii, co na Ukrainie. Dochodzi do pobić osób, które ośmieliły się odezwać w języku rosyjskim (np. białoruskiego piosenkarza), atakuje się szkoły języka rosyjskiego, likwiduje się kanon literatury i sztuki rosyjskiej, utrudnia się dostęp do niej, zaś temat Wołynia, jak niegdyś Katynia stał się tematem zakazanym w dyskursie publicznym, w debacie historycznej, akademickiej etc.

Owa sytuacja powinna przerażać nas, Polaków, Powinna przerażać swoim prymitywizmem, wybiórczością, tępotą i napawać obrzydzeniem przez swój siermiężny charakter. Polska zamienia się wraz z Ukrainą w jakiś radykalnie sfanatyzowany obszar, wręcz oczekujący z utęsknieniem bezpośredniej konfrontacji z Rosją. Oby nigdy do niej naprawdę nie doszło, a rakiety rosyjskie nie musiały interweniować w obronie autentycznie i systemowo dyskryminowanej diaspory rosyjskiej i rosyjskojęzycznej. Wówczas trudno będzie się temu dziwić.

Sylwia Gorlicka

Postzachód, Węgry i wojna na Ukrainie



Tradycyjnie latem podczas Bálványos Summer Free University and Student Camp w Siedmiogrodzie Viktor Orban wygłosił wykład na temat sytuacji międzynarodowej i pozycji Węgier.

Orban powiedział, że „Zachód przeniósł się do Europy Środkowej w sensie duchowym", Zachód jest tutaj i toczy bitwa między dwiema połówkami Europy. Europa Środkowa chce, aby każdy mógł sam decydować, z kim i jak chce żyć, „**ale Postzachód odmówił tego i nadal walczą z Europą Środkową w celu upodobnienia nas do nich**". Postzachód walczy z Europą Środkową, a Bruksela, w stylu Sorosa, chce „zmusić do nas do przyjmowania imigrantów".

Orban powiedział, że wojna zachwiała współpracą polsko-węgierską, która stanowiła oś współpracy między Czwórką Wyszehradzką, mimo że ich strategiczne interesy były zbieżne: Polacy chcą, aby Rosjanie nie zbliżali się do nich, chcą zachowania suwerenność Ukrainy i demokracji. O ile jednak Węgrzy chcą trzymać się z dala od wojny dwóch narodów słowiańskich, o tyle Polacy uznają, że to jest ich wojna, dlatego trzeba zrobić wszystko, co możliwe żeby po tej wojnie uratować polsko-węgierski sojusz strategiczny – wskazał premier.

W związku z wyzwaniem, jakie stawia wojna rosyjsko-ukraińska, Viktor Orbán zwrócił uwagę, że wojna rosyjsko-ukraińska przyniosła trze Węgrom krwawe ofiary: według danych do tej pory zginęło 86 Węgrów, więc Węgry mają prawo, jako kraj

sąsiedni, powiedzieć, że pokój jest jedynym rozwiązaniem. Viktor Orbán uważa, że na każdą wojnę można spojrzeć z wielu różnych perspektyw, ale podstawowym aspektem każdej wojny jest fakt, że „matki opłakują swoje dzieci, a dzieci tracą rodziców". Według niego takie podejście powinno przeważyć nad wszystkim innym, nawet w polityce.

Podkreślił, że dla węgierskiego rządu oznacza to, że ich głównym obowiązkiem jest, aby węgierscy rodzice i węgierskie dzieci nie znaleźli się w takiej sytuacji. Jednocześnie zaznaczył, że są kraje, które krytykują Węgry, ponieważ według nich wystarczająco nie pomagają Ukraińcom, ale te kraje są daleko i udzielają Ukrainie co najwyżej wsparcia finansowego lub zbrojeniowego.

Podkreślił, że w związku z tym podtrzymuje stanowisko, że „to nie jest nasza wojna". Węgry są członkiem NATO i zakładają, że Rosja nigdy nie zaatakuje znacznie silniejszego NATO, ale znalazła się w delikatnej sytuacji po tym, jak UE postanowiła nie będąc stroną walczącą, dostarczać broń Ukrainie i nakłada surowe sankcje gospodarcze, co stwarza ogromne ryzyko eskalacji konfliktu– wyjaśnił.

Przypomniał, że Rosjanie postawili jasne żądanie bezpieczeństwa: **Ukraina nigdy nie powinna być członkiem NATO, a gdyby Donald Trump był teraz prezydentem USA, a Angela Merkel kanclerzem Niemiec, nie sądzi, żeby ta wojna wybuchła**. Wyjaśnił, że zachodnia strategia opiera się na tym, że Ukraina wygra wojnę dzięki anglosaskiemu szkoleniu i broni, i na tym, że sankcje zdestabilizują przywództwo Moskwy, i że Zachód może sobie poradzić sobie z ekonomicznymi skutkami sankcji, a świat opowie się za nim. Tymczasem dzieje się odwrotnie.

„Siedzimy w samochodzie z przebitymi wszystkimi czterema oponami" – powiedział Viktor Orbán, wskazując, że w kontekście wojny Europa potrzebuje nowej strategii, która powinna skupić się nie na wygraniu wojny, ale na wynegocjowaniu pokoju i sformułowaniu dobrej oferty pokojowej. **Viktor Orbán**

podkreślił, że zadaniem Unii Europejskiej nie jest teraz „stanie po stronie Rosjan czy Ukraińców, ale stanie między Rosją a Ukrainą”. To, co dzieje się w tej chwili, przedłuża wojnę, ponieważ Rosjanie chcą przesunąć się tak daleko, żeby nie było możliwe zaatakowanie Rosji z terytorium Ukrainy, więc im lepszą broń będą mieli Ukraińcy, tym dłużej ta wojna będzie trwać.

Podkreślił, że dopóki nie dojdzie do rosyjsko-amerykańskich negocjacji, nie będzie pokoju. „My, Europejczycy, straciliśmy naszą szansę na wpływanie na rzeczy” po 2014 r., kiedy przy zawieraniu porozumienia mińskiego wyłączono Amerykanów, a przez co realizacja tego porozumienia nie mogła być egzekwowana, wyjaśnił. Dodał, że dlatego **„Rosjanie nawet nie chcą teraz negocjować z nami”, ale z tymi, którzy mogą wymusić na Ukrainie to, na co się zgodzą.**

Wymienił kwestię energetyki i gospodarki jako jedno z wyzwań stojących przed Węgrami. Chodzi o to, aby zrozumieć, kto korzysta z sytuacji wojennej. Zwrócił uwagę, że korzystają na tym ci, którzy mają własne źródła energii. Rosjanie mają się dobrze, ponieważ ich przychody są determinowane nie tylko ilością sprzedanej energii, ale także jej ceną, Chińczycy – wcześniej zależni od świata arabskiego – są teraz są w stanie kupować rosyjskie surowce, dobrze mają się też duże amerykańskie firmy, które zwielokrotniły swoje zyski. Z drugiej strony UE radzi sobie źle, a jej deficyt energetyczny potroił się.

Podkreślił też znaczenie fundamentów duchowych: **„Węgry wciąż mają swoją ideę narodową, mają swoje uczucia narodowe, mają swoją kulturę”.** Nazwał też ważnym, aby Węgry miały ambicje, ambicje wspólnotowe, a nawet narodowe. Aby „utrzymać nasze narodowe ambicje w trudnym okresie, który nadchodzi, musimy pozostać razem, ojczyzna musi być zjednoczona, a Siedmiogród i inne zamieszkane przez Węgrów terytoria w Kotlinie Karpackiej muszą pozostać razem” – zakończył swoją prezentację Viktor Orbán.

Meyssan: agonia Zachodu



Siergiej Ławrow zwykł porównywać Zachód do rannego drapieżnika. Według niego, nie należy go prowokować, bo może wpaść w amok i zniszczyć wszystko dookoła. Lepiej towarzyszyć mu w drodze na cmentarz. Zachód widzi to inaczej. Waszyngton i Londyn stoją na czele krucjaty przeciwko Moskwie i Pekinowi. Pohukują i oznajmiają, że gotowe są na wszystko. Cóż jednak tak naprawdę mogą?

Zachód w pułapce Tukidydesa

Szczyt G7 w Bawarii i szczyt NATO w Madrycie miały ogłosić surową karę wymierzoną przez Zachód Kremlowi za jego Specjalną Operację Wojskową na Ukrainie. Starano się stworzyć wrażenie jedności świata zachodniego, a w praktyce zademonstrowano jego oderwanie od rzeczywistości, brak słuchaczy na świecie i zmierzanie w kierunku kresu jego supremacji.

Gdy Zachód przekonuje, że gra o najwyższą stawkę toczy się na Ukrainie, świat dostrzega, jak wpadł on w „pułapkę Tukidydesa” (zob. Graham Allison, *Skazani na wojnę? Czy Ameryka i Chiny unikną pułapki Tukidydesa?*, Bielsko-Biała 2018). Czy stosunki międzynarodowe nadal będą się kręcić wokół niego, czy świat stanie się wielobiegunowy? Czy narody do tej pory podporządkowane wyzwolą się i odzyskają suwerenność? Czy myślenie kategoriami innymi niż globalna dominacja i podjęcie

starań o rozwój wszystkich podmiotów będzie możliwe?

Kłamstwa i cenzura

Zachód stworzył na temat rosyjskiej Specjalnej Operacji Wojskowej narrację, w której zapomina o swych własnych zobowiązaniach po rozpadzie Związku Radzieckiego. Zapomniał o podpisanej przez siebie Karcie Bezpieczeństwa Europejskiego (znanej jako Deklaracja Stambulska OBWE) i o tym, jak sam złamał jej zapisy, przyjmując do NATO prawie wszystkie byłe kraje członkowskie Układu Warszawskiego oraz niektóre republiki postradzieckie. Zapomniał o tym, jak zmieniał władze w Kijowie w 2004 roku i jak dokonywał przewrotu w 2014 roku, w wyniku którego rządy przejęli banderowscy nacjonaliści. Wymazując z pamięci przeszłość, próbuje dziś za wszelkie problemy winą obarczać Rosję. Odmawia jednocześnie zanegowania swych wcześniejszych decyzji, twierdząc jedynie, że był zmuszony, by je podjąć pod wpływem siły przeciwnika. Dla niego prawo stanowią wyłącznie jego własne zwycięstwa.

Aby bronić tej fantastycznej narracji, udało mu się zablokować u siebie wszystkie media rosyjskie.

Niezależnie od tego, za jak demokratyczny się uważa, uznaje , że należy ocenzurować ewentualne głosy dysydenckie, zanim przejdzie się do kłamstw.

Nie dostrzega zatem sprzeczności w swoim podejściu do ukraińskiego konfliktu, uznając, że wyłącznie on ma prawo do potępiania i nakładania sankcji na Rosję. Szantażując mniejsze kraje, udało mu się wymusić przyjęcie przez Zgromadzenie Ogólne ONZ tekstu, który potwierdza jego punkt widzenia. Próbuje rozbić Rosję tak, jak rozbił Jugosławię i tak, jak próbował rozbić Irak, Libię, Syrię i Jemen (strategia **Donalda Rumsfelda / Arthura Cebrowskiego**).

Bankrut z pełnym skarbcem?

Aby to osiągnąć, zaczęli izolować Rosję w systemie światowych finansów i handlu. Odcięli jej dostęp do systemu SWIFT i ubezpieczeń Lloyds, próbując zablokować import, eksport i transfer dóbr. Sądzili, że wywołają w ten sposób katastrofę gospodarczą. Faktycznie, 27 czerwca Rosja nie była w stanie wypłacić długu o wartości 100 mln dolarów i tym samym agencja ratingowa Moody's ogłosiła jej bankructwo.

Nie wywołało to jednak żadnego oddźwięku; wszyscy wiedzą, że rezerwy rosyjskiego banku Centralnego pełne są walut zagranicznych i złota. Kreml mógł bez problemu zapłacić te 100 mln dolarów, jednak z powodu sankcji nałożonych przez Zachód nie był w stanie dokonać transferu. Pozostały one w depozycie, czekając na podjęcie ich przez wierzycieli.

Dolary wracają

Jednocześnie Kreml, któremu Zachód przestał płacić, zaczął sprzedawać swe towary, szczególnie węglowodory, innym kontrahentom, przede wszystkim Chinom. Handel, który nie może być już prowadzony w dolarach, przeszedł na rozliczenia w innych walutach. W efekcie dolary powracają na rynek amerykański. Proces ten rozpoczął się już przed kilkoma laty. Jednostronne zachodnie sankcje gwałtownie go przyspieszyły. Ogromne sumy dolarów powracające do Stanów Zjednoczonych powodują masowy wzrost cen. Rezerwa Federalna robi wszystko, by podzielić się nim ze strefą euro. Wzrost cen ogarnia całą zachodnią część kontynentu europejskiego.

Europejski Bank Centralny (EBC) nie jest agencją na rzecz rozwoju. Jego głównym zadaniem jest kontrolowanie inflacji w unii walutowej. Nie jest on w stanie powstrzymać gwałtownego wzrostu cen, więc próbuje jedynie zmniejszyć swoje zadłużenie. Kraje członkowskie namawiane są do udziału w tych działaniach, kosztem spadku siły nabywczej ich własnych obywateli,

obniżania podatków i tworzenia systemu ulg. Jest to jednak niezamykający się krąg: pomagając swym własnym obywatelom uzależniają się jeszcze bardziej od EBC, wiążą się też kolejnym zadłużaniem się wobec Stanów Zjednoczonych i dalszym zubożeniem.

Na inflację nie ma sposobu. Po raz pierwszy w historii Zachód musi przełknąć dolary, które bez umiaru drukowane były przez lata przez Waszyngton. Wzrost cen na Zachodzie powiązany jest z wysokością imperialistycznych wydatków ostatnich trzydziestu lat. Dopiero dziś Zachodowi przyszło zapłacić za jego wojny w Jugosławii, Afganistanie, Iraku, Libii, Syrii i Jemenie.

Zmiany kierunków handlu

Do niedawna Stany Zjednoczone mordowały każdego, kto zagrażał dominacji dolara. Zabiły za to prezydenta **Saddama Husajna** i ograbiły iracki bank centralny. Torturowały i zlinczowały libijskiego przywódcę **Muammara Kaddafiego**, który planował stworzenie waluty panafrykańskiej i okradły libijski bank narodowy. Gigantyczne kwoty zgromadzone przez te potęgi naftowe zniknęły bez śladu. Widzieliśmy jedynie obrazki pokazujące amerykańskich żołnierzy pakujących dziesiątki miliardów dolarów do ogromnych worków na śmieci. Wyłączając Rosję z handlu dolarowego, Waszyngton osiągnął to, czego tak się zawsze obawiał: dolar nie stanowi już odnośnika w wymianie międzynarodowej.

Zdecydowana większość świata niezachodniego nie jest przecież ślepa. Rozumiejąc, co się dzieje, pospieszyła na forum ekonomiczne w Petersburgu, a następnie rejestrowała się na wirtualny szczyt BRICS. Trochę późno wszyscy zorientowali się, że Rosja rozpoczęła projekt Partnerstwa Wielkiej Eurazji, który ogłosił uroczyście na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu 2016 roku, minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, a którego realizację rozpoczęto już w roku 2018. Przez ostatnie cztery lata powstały całe sieci dróg i szlaków

kolejowych, które zintegrowały Rosję z siecią nowych „jedwabnych szlaków” zainicjowanych przez Chiny. Zmiana kierunków przepływu towarów okazała się dzięki temu możliwa w ciągu zaledwie paru miesięcy.

G7 – regulator cen?

Spadek wartości dolara i zmiana kierunków handlu powodują jeszcze większy wzrost cen energii. Dochody z handlu węglowodorami uzyskiwane przez jednego z największych ich światowych eksporterów, Rosję, wyraźnie wzrosły. Rosyjski rubel nigdy nie był w tak dobrej kondycji. W odpowiedzi szczyt G7 wyznaczył maksymalną cenę na rosyjską ropę i gaz. Polecił „społeczności międzynarodowej”, by nie płaciła więcej.

Rosja jednak najwyraźniej nie ma zamiaru pozwolić, by to Zachód ustalał ceny na jej surowce. Ci, którzy nie będą chcieli zapłacić ceny rynkowej, po prostu ich nie kupią, a przecież żaden odbiorca nie zdecyduje się na rezygnację z nich, by tylko usatysfakcjonować Zachód.

Zachód musiał iść na wojnę

G7 próbuje również podkreślać swą wyższość intelektualną. To jednak już nie działa. Wiatry się zmieniły. Cztery wieki dominacji Zachodu się już skończyły.

G7 desperacko zadeklarowało, że zamierza podjąć działania na rzecz zażegnania globalnego kryzysu żywnościowego, który samo wywołało poprzez swą politykę. Zainteresowane kraje wiedzą, czym są te deklaracje. Wciąż czekają na obiecany już dawno wielki plan rozwoju Afryki i inne zamki na piasku. Wiedzą, że Zachód nie jest w stanie wyprodukować nawozów azotowych i że to właśnie on uniemożliwia ich sprzedaż Rosji. Wsparcie G7 to co najwyżej akcja charytatywna, która ma sprawiać, że nikt nie będzie kwestionował świętych zasad wolnego rynku.

Jedynym sposobem na uratowanie dominacji zachodniej jest wojna. NATO musi pokonać militarnie Rosję, jak niegdyś Rzym pokonał Kartaginę. Jest już jednak za późno: rosyjska armia ma znacznie bardziej zaawansowaną broń od Zachodu. Testowała ją jeszcze w 2014 roku w Syrii. W każdej chwili może zniszczyć przeciwnika. W 2018 roku w wystąpieniu przed rosyjskim zgromadzeniem narodowym prezydent Władimir Putin zaprezentował rozwój swych arsenałów.

NATO snuje imperialne plany

Szczyt NATO w Madrycie był jedynie działaniem wizerunkowym. To jego łabędzi śpiew. 32 kraje członkowskie zadeklarowały jedność z desperacją tych, którzy boją się nadchodzącej śmierci. Jakby nigdy nic, przyjęli strategię dominacji nad światem na kolejne dziesięć lat, w której za wyzwanie uznano „wzrost" Chin. Właściwie przyznali wprost, że ich celem jest nie dbałość o własne bezpieczeństwo, lecz dominacja nad światem. Następnie przeszli do rozszerzenia sojuszu o Szwecję i Finlandię i zagrozili Chinom, że pomyślą o przyjęciu Japonii.

Jedynym zgrzytem, dość szybko zażegnanym, była presja Turcji na Finlandię i Szwecję, by kraje te potępiły Partię Pracujących Kurdystanu (PKK). Nie mając pomysły na kontrakcję, Stany Zjednoczone porzuciły swoich sojuszników – kurdyjskich najemników w Syrii i ich przywódców w innych krajach.

Jednocześnie zdecydowano się na powiększenie sił szybkiego reagowania NATO z 40 tys. do 300 tys. żołnierzy, czyli 7,5-krotnie, i rozmieszczenia ich na granicy z Rosją. Tym samym sojusz po raz kolejny pogwałcił podpisane przez jego kraje członkowskie traktaty, w tym Kartę Bezpieczeństwa Europejskiego, w której wykluczono stwarzanie bezpośredniego zagrożenia dla Rosji. Rosja pozbawiona jest możliwości tradycyjnej obrony swych rozległych granic, mogąc jedynie zagwarantować sobie bezpieczeństwo przez wyeliminowanie

sytuacji, w której siły zagraniczne tworzą bazy u jej wrót (strategia spalonej ziemi). Pentagon już dziś rozpowszechnia mapy, na których pokazuje plany rozczłonkowania Rosji.

Czy Zachód pociągnie za sobą świat

Były ambasador rosyjski, obecny szef Roskosmosu, **Dmitrij Rogozin**, odpowiedział na to publikacją na swoim koncie w Telegramie danych umiejscowienia centrów decyzyjnych NATO, w tym sali, w której doszło do spotkania na madryckim szczycie. Rosja ma ponaddźwiękowe nośniki rakietowe, które mogą dostarczyć głowice nuklearne w ciągu kilku minut do siedziby NATO w Brukseli czy do Pentagonu w Waszyngtonie. Siergiej Ławrow doprecyzował, nawiązując do straussistów, że decyzje militarne Zachodu nie są podejmowane przez wojskowych, lecz w amerykańskim Departamencie Stanu. To on stanowiłby pierwszy cel uderzenia.

Pytanie brzmi zatem: czy Zachód postawi wszystko na jedną kartę? Czy zaryzykuje rozpętanie III wojny światowej – choć wiadomo, że jest już przegrany – tylko po to, by nie umierać samemu?

Thierry Meyssan

Gaz za ruble, kto przegrał?



Głośno było ostatnio o przejściu na ruble w płatnościach za gaz. Bardzo dużo szumu… a potem cisza… Co się stało, czemu przycichło? Czyżby jakaś wstydliwa tajemnica? Rzeczywiście, kryje się za tą ciszą coś, co trzeba skrzętnie ukryć przed opinią publiczną…

Gdy Polska (PGNiG) jako pierwsza podejmowała tę decyzję o rezygnacji z płatności w nowym systemie, razem z nią takiego samego wyboru dokonała Bułgaria (Bulgargaz). Później dowiedzieliśmy się o kolejnych, którzy odmówili płacenia: fiński Gazum, holenderska GasTerra, międzynarodowy Shell, duński Orsted i litewski Ignitis.

Niewiele, szczególnie że oprócz polskiego kontraktu pozostałe były bardzo skromne lub miały się właśnie zakończyć. A przecież wciąż obowiązują 54 kontrakty Gazpromu. Te „porzucone" też, jedynie ich realizacja została zawieszona ze względu na brak płatności, a ich wielkość to 18 mld m3 rocznie (na 155 mld importu EU z Rosji w 2021 r.). Jednak Rosjanie szacują ubytek na 5-10% dostaw do Europy, gdyż wiele z tego gazu płynie dalej poprzez pośredników.

Polska była pierwsza… ale sprowadza rosyjski gaz przez Niemcy. Finlandia odrzucając rosyjski gaz za ruble, gwałtownie zwiększyła zakupy… rosyjskiego LNG. Kontrakt zupełnie inny, też długoterminowy, ale w płatności rublami nie obowiązują. Novatek dostarcza LNG z terminalu Kriogaz w Wysocku nad Bałtykiem, bo to najbliżej i najtaniej, gdzie najwięcej kupują… Litwa i Finlandia.

Od rosyjskiego gazu odcięło się zaledwie kilku odbiorców. I też nie do końca. Reszta spokojnie kupuje dalej. A na temat tego „straszliwego szantażu" zapadła cisza. Zero podsumowań, analiz, wniosków.

Kilka krajów wpadło we własne sidła ostrej retoryki pod publiczkę, która uniemożliwia podjęcie racjonalnej decyzji w trudnym momencie. Wepchnęła je w nie Bruksela, jej stanowisko

było pryncypialne aż do bólu. Wpłata w walucie kontraktu była do przyjęcia, jednak już konwersję na ruble uznawano za naruszenie sankcji. Przypominali o tym najwyżsi rangą biurokraci brukselscy z Ursulą von der Leyen na czele. Jednak podstaw prawnych nie miało to żadnych, zapisane zostało w jednym z tysięcy dokumentów typu FAQ (odpowiedzi na najczęstsze pytania). Żadnej rangi dokument, a mógł spowodować natychmiastowe odcięciem całej Unii od 40% (a Niemiec od 60%) dostaw kluczowego surowca dla przemysłu i energetyki. To doprowadziłoby do natychmiastowej katastrofy energetycznej i szerzej – gospodarczej.

Nacisk najmocniej działał na kraje słabe i nie broniące swoich interesów. One wypowiedziały kontrakty, odcięły się od wschodu, a w efekcie popadły w energetyczne uzależnienie od Starej Europy, tak jak Polska od Niemiec. Peryferia Unii popadły w jeszcze większe uzależnienie od swoich starszych i bogatszych partnerów. Teraz mogą jedynie pokiwać palcem w bucie.

W żadnym stopniu pokrzykiwania Unii nie działały na państwa, które wiedzą, że interesy gospodarcze to istota rzeczy. Niemcy zawsze dyskretnie opierały się pogłębianiu uzależnienia od USA, a przede wszystkim od kontrolowanych przez nie źródeł ropy i gazu. Dlatego przez partnerstwo z Rosją chciały zmniejszyć dominację Ameryki w Europie. **Jednak przy dzisiejszym natężeniu presji, przy uruchomieniu wszelkiego rodzaju narzędzi wpływu – politycy europejscy, szczególnie niemieccy, zrejterowali**. Jednak nie na tyle, by nie było odwrotu. Gdy nacisk osłabnie, Ukraina i Rosja zakończą wojnę, wrócą do osłabiania uścisku sojusznika i użyją Rosji jako strategicznej przeciwwagi.

Waszyngton ma ogromną ilość narzędzi nacisku na Europę, a gdy będzie jeszcze kontrolował dostawy energii, a szczególnie jej ceny, może być bardzo niewesoło. Już dzisiaj jest, wystarczy porównać ceny gazu w USA**: 25 €/MWh, i u nas: 123 €. Europa ma 5-krotnie wyższe ceny gazu niż Ameryka i jej gospodarka w tym**

bratnim uścisku może zostać zaduszona na śmierć. A Stany odgryzają dla siebie coraz większy kawałek europejskiego tortu gazowego, podpisując kontrakty na eksport LNG do Europy. EnBW podpisał właśnie pierwszy w historii niemiecki kontrakt długoterminowy na zakup LNG.

Sytuacja jest niebezpieczna, czasy są wojenne i nieprzewidywalne**. Mamy wojnę na Ukrainie, ale mamy też wojnę energetyczną (handlową, finansową) Zachodu z Rosją.** Każdy scenariusz jest możliwy i poruszamy się po polu minowym, gdzie każdy krok może skończyć się wybuchem. Niemcy już ostrzegają, że cały ten „rynek" może się w każdym momencie zawalić, określając tę sytuację jako gazowy „efekt Lehman Brothers" – najsłynniejszego bankructwa XXI wieku, które wywołało globalny kryzys finansowy w 2008 roku.

Andrzej Szczęśniak

Sława ambasadoru!



W środę (29.06.2022) na kanale YouTube niemieckiego dziennikarza Tilo Junga opublikowany został wywiad z ambasadorem Ukrainy w Niemczech Andrijem Melnykiem. Jednym z wątków poruszonych przez Junga było ludobójstwo na Polakach i Żydach przeprowadzone przez OUN-UPA w latach 1943-1944. – *W 1943-44 zabili oni 100 tysięcy polskich cywilów. To fakt historyczny* – powiedział dziennikarz. Powiedział też, że

oddziały banderowców wymordowały ok. 800 tysięcy Żydów. Zapytał, jak można uważać za bohatera masowego mordercę, jakim był Stepan Bandera.

Ambasador Melnyk oświadczył, że Bandera był bohaterem walczącym o wolność i niepodległość Ukrainy. – *Nie ma dowodów na to, że oddziały Bandery wymordowały setki tysięcy Żydów. To rosyjska narracja, utrwalana w Polsce, Niemczech i Izraelu. Nie wiem, skąd Pan ma swoje dane* – powiedział. Co do ludobójstwa na Polakach Melnyk stwierdził, że „podobne masakry dokonywane były przez Polaków na Ukraińcach, dziesiątki tysięcy. Trwała wojna". – *Przyczyną wrogości pomiędzy Polską i Ukraina było to, że Ukraińcy byli największą grupą mniejszościową w państwie polskim. Stanowili ¼ ludności, a mimo to byli uciskani w tak okrutny sposób, że trudno to sobie wyobrazić. I dlatego Ukraina była przeciw Polsce, więc Polacy byli dla nas takimi samymi wrogami jak nazistowskie Niemcy i ZSRR* – oświadczył Melnyk. – *Bandera nie był masowym mordercą Polaków i Żydów. Tak mówię i mogę to powtórzyć. Nie zdystansuję się od tego. I tyle* – podkreślił.

Od tego wywiadu minęły cztery dni. Melnyk nie został odwołany z funkcji ambasadora. Jedyne, co w tej sprawie zrobiła strona ukraińska, to wydanie oświadczenia, w którym ukraiński MSZ wyraził wdzięczność dla Polski za wsparcie udzielone w obliczu rosyjskiej inwazji i zapewnił, że „nie ma kwestii, które nas dzielą, ponieważ zarówno Kijów jak i Warszawa rozumieją potrzebę zachowania jedności w obliczu wspólnych wyzwań". Wypowiedź Melnyka została określona jako „prywatna opinia", która „nie odzwierciedla stanowiska MSZ Ukrainy".

Jaka była reakcja strony polskiej? Minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau wydał oświadczenie o następującej treści: *Odbyłem rozmowę z moim przyjacielem z MSZ Ukrainy Dmytro Kulebą w związku z fałszującymi historię wypowiedziami ambasadora Ukrainy w Niemczech. Podziękowałem ministrowi Kulebie za szybką publiczną interwencję w tej sprawie. Polska i Ukraina wspólnie muszą stawiać czoła zarówno próbom*

prowokacji, jak i brakowi rozwagi i odpowiedzialności.

Na tym zakończyła się polska interwencja w sprawie gloryfikacji Bandery i relatywizowania ukraińskiego ludobójstwa na Polakach przez ambasadora Ukrainy. Władze RP przyklepały ukraińskie tłumaczenie, jakoby wypowiedź Melnyka była „prywatną opinią", której rzekomo nie podziela ukraiński MSZ. Oczywistą oczywistością jest to, że takie wyjaśnienie to totalna bzdura. Publiczne wypowiedzi ambasadora nigdy nie są „prywatną opinią". Tym bardziej, że to, co powiedział Melnyk jest kwintesencją ukraińskiej polityki historycznej. Ukraińcy od lat budują swoją tożsamość na gloryfikacji ludobójców i relatywizacji Rzezi Wołyńskiej. Pisałam o tym wielokrotnie i nie ma sensu tego wszystkiego powtarzać. Natomiast to, co zrobiły polskie władze, jest *de facto* przyzwoleniem na narrację ukraińską. Jeśli udajemy, że nic się nie stało, to hulaj dusza, piekła nie ma. Nie ma winy, nie będzie kary. Państwo polskie dało jasny i wyraźny sygnał, że nie będzie wyciągać żadnych konsekwencji wobec antypolskich kłamstw i gloryfikacji morderców Polaków. Cieszmy się, że rosyjskie bomby nie lecą nam na głowy. A to, że Ukraińcy bestialsko wymordowali co najmniej 100 tysięcy Polaków i dziś oddają cześć mordercom, niech nam snu z powiek nie spędza. Sława Ukrajini, herojam sława!

Warto odnotować, co w sprawie „prywatnej opinii" Melnyka mają do powiedzenia Żydzi. Oto treść oświadczenia opublikowanego przez ambasadę Izraela w Niemczech: *Wypowiedzi ukraińskiego ambasadora to przeinaczanie faktów historycznych, bagatelizowanie Holokaustu i zniewaga dla tych, którzy zostali zamordowani przez Banderę i jego ludzi. Stwierdzenia ambasadora nie tylko podważają wartości, które wszyscy cenimy i w które wierzymy, ale także podkopują odważną walkę narodu ukraińskiego o życie zgodnie z wartościami demokratycznymi.*

Jak widzicie, Żydzi nie bali się nazwać rzeczy po imieniu. Oni doskonale wiedzą, jaką moc ma przypominanie o Holokauście. Zbudowali na tym swoją pozycję międzynarodową i bez względu na

to, czy to się komuś podoba, czy nie, skutecznie wykorzystują ludobójstwo na Żydach do walki o własne interesy. Polacy robią dokładnie odwrotnie. Ludobójstwo na Polakach jest przez polskie władze traktowane jako przeszkoda w realizacji polskiej polityki. To musi skończyć się źle, bo ten, kto pozwala szargać pamięć ofiar, nie zasługuje ani na szacunek, ani na poważne traktowanie. Taktyka „myśmy wszystko zapomnieli" prowadzi do tego, że można Polsce bezkarnie pluć w twarz. Wiadomo, że Polacy obetrą ślinę i dalej będą udawać, że deszcz pada.

Wypowiedź Melnyka pokazała, że nie tylko polskie władze obtarły gęby ze śliny w imię „solidarności z Ukrainą". To samo zrobili polscy ukrainofile, którzy po 24 lutego, czyli inwazji Rosji na Ukrainę, ostatecznie rozstali się z rozumem i budują chore wizje polsko-ukraińskiej wspólnoty, w której obowiązuje zasada „kochajmy się". Po tym, jak Melnyk powiedział to, co powiedział, wielu z nich zaczęło szukać usprawiedliwienia dla jego wypowiedzi. I wymyślili. To robota rosyjskich służb! Nie wierzycie? A zatem zobaczcie, co napisał na Twitterze dziennikarz TVP Filip Memeches: *Im dłużej myślę nad słowami ambasadora Melnyka, tym coraz bardziej chodzi mi po głowie „montaż" Vladimira Volkoffa. Rosyjska agentura to mistrzowie prowokacji. Niemieckie pudła rezonansowe zrobiły swoje. Inna rzecz, że ukraiński dyplomata dał się wkręcić.*

To jest perełka. Melnyk dał się wkręcić! Taki niezguła. A może było jeszcze inaczej? Może rosyjska agentura porwała ukraińskiego ambasadora, a na jego miejsce podstawiła kacapskiego sobowtóra, który broni Bandery, czego przecież nie zrobiłby żaden Ukrainiec, prawda? Pomniki Bandery oraz Szuchewycza też postawiła na Ukrainie rosyjska agentura. Obchody rocznicy powstania UPA też organizuje rosyjska agentura. Zakaz ekshumacji pomordowanych podczas Rzezi Wołyńskiej również wydała rosyjska agentura. Piosenkę „Batko nasz, Bandera" śpiewa rosyjska agentura. Popiersie Szuchewycza na polskiej szkole we Lwowie także zawiesiła rosyjska

agentura. I to rosyjska agentura organizuje ceremonie ku czci Dywizji SS „Galizien”. Ukraińcy nie mają z tym nic wspólnego!

Pora zdjąć klapki z oczu i miejmy nadzieję, że popis ambasadora Melnyka wielu Polakom te klapki zdejmie. Wbrew infantylnemu tłumaczeniu ukraińskiego MSZ, przyklepanemu przez stronę polską, to, co powiedział Melnyk, było i jest stanowiskiem ukraińskiego państwa, które od lat budowane jest na ideologii banderowskiej. Wojna z Rosją tego nie zmieniła. Mordercy Polaków to bohaterowie Ukrainy. Naiwny ten, kto sądzi, że będzie inaczej. Chociaż oficjalnie ukraiński MSZ odcina się od wypowiedzi Melnyka, to w rzeczywistości Bandera jest i pozostanie ukraińskim bohaterem. Po raz kolejny ostrzegam: prędzej Polacy zostaną zmuszeni do akceptacji kultu Bandery, niż Ukraińcy zrezygnują ze swojego heroja. Po występie ambasadora Melnyka powinno być to oczywiste dla każdego, kto potrafi dodać dwa do dwóch. O żadnej wspólnocie polsko-ukraińskiej mowy nie ma i być nie może. Trzeba być nienormalnym, żeby budować wizję takiej wspólnoty z ludźmi, którzy gloryfikują ludobójców. To nie jest cywilizowany naród. To jest dzicz!

Na koniec coś optymistycznego. Pamiętacie ambasador Izraela Annę Azari? Jej antypolska wypowiedź podczas obchodów rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau obnażyła głupotę i naiwność polskich filosemitów. Tak samo Melnyk obnażył głupotę i naiwność polskich ukrainofilów. I bardzo dobrze! Ci, którzy wyzywali Polaków przypominających o Wołyniu od „ruskich onuc”, albo zamknęli teraz gęby, albo wymyślają durne usprawiedliwienia dla ukraińskiego ambasadora, który napluł Polakom w twarz. Powtarzam, ambasador Melnyk przedstawił ukraińską politykę historyczną taką, jaka ona jest. Żadne fikołki tego nie zmienią. Ukrainofile zostali ze swoją głupotą i naiwnością jak Himilsbach z angielskim. I za to należy się Melnykowi podziękowanie. Sława amabasadoru!

Katarzyna Treter-Sierpińska